DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 49.] SOBOTA 4. MARCA 1911. [Rocznie.....10 K (4 Rb., 8 Mk. Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

W Polsce o Węgrach.

Toczy się w ostatnich czasach spór mało u nas znany. Oto krakowski *Świat Słowiański* z wielkim zapałem i niezwykłą zamaszystością walczy za sprawę polską... z Węgrami. I samych także Węgrów walka ta zaskoczyła i zdziwiła. Przemawia z ich strony w tej sprawie najpoważniejszy dziennik węgierski *Budapesti Hirlap*.

Dzięki ożywieniu się w ostatnich latach stosunków polsko-węgierskich mógł *Budapesti Hirlap* zamieścić w r. ub. szereg listów z Krakowa, pisanych przez Węgra, przebywającego widocznie przez dłuższy czas u nas i poważnie zaznajamiającego się z naszem życiem. Listy te pełne były najlepszych uczuć dla Polski. W pierwszym (z d. 19. czerwca 1910) wskazywał, że ludność polską, mieszkającą na węgierskich stokach karpackich i zwykle mieszaną ze Słowakami, należy urzędownie uznać za Polaków. W drugim (z d. 25. czerwca 1910) mówił o historycznych stosunkach polsko-węgierskich i o dzisiejszem zbliżeniu politycznem obu narodów. W trzecim (z d. 3. lipca 1910) przedstawiał wielkość i duchową odrębność literatury polskiej, wskazywał jak pożyteczne byłyby liczne z niej przekłady węgierskie, żądał stworzenia katedr historyi i literatury polskiej w Budapeszcie i Koloszwarze, a także, jeśli nie katedr, to przynajmniej lektoratów węgierskich w Krakowie i Lwowie.

Aliści, właśnie koło czasu, gdy szły te listy krakowskie do dziennika węgierskiego, w *Świecie Słowiańskim* (za maj 1910) ukazał się artykuł niezmiernie gwałtowny przeciw Węgrom p. t. „Bankructwo madiaryzmu“. Na artykuł ten odpowiedział *Budapesti Hirlap* dopiero dnia 21. grudnia 1910. Widocznie gwałtowne napaści artykułu tego na Węgrów niezbyt były kłopotliwe dla pisma węgierskiego i niezbyt je prawdą w oczy kłuły, bo podał on go w całości, jako oceniający się sam przez się. Nie wykorzystał jednak *Budapesti Hirlap* artykułu tego przeciw Polakom i nie odwzajemnił się pięknem za nadobne. Główny nacisk swej odpowiedzi położył on właśnie na to, by czytelnikom węgierskim wyjaśnić, że *Świat Słowiański* zajmuje w publicystyce polskiej miejsce dosyć wyraźnie odrzynające się i jeśli taką nienawiścią pała ku Węgrom, to nie tyle z polskiego ile ze słowiańskiego stanowiska. A na zakończenie, po tem własnem objaśnieniu sprawy, dodał: „Przecież pragnęlibyśmy mieć uspokajającą odpowiedź, że to obrażające nas czasopismo panslawistyczne jest odosobnione i że przeważna część Polaków nie ma z niem nic wspólnego i prosimy bardzo prasę polską, niech nas uspokoi pod tym względem, aby nie było między nami nieporozumienia, bo to i nam i Polakom szkodzi“.

*

Wypada zatem przyjrzeć się bliżej artykułowi *Świata Słowiańskiego* p. t. „Bankructwo madiaryzmu“ (r. 1910 t. I. str. 285—289). Jest to artykuł rzeczywiście zdumiewający, powiedzmy wyraźnie: szpetny. Należy spokojnie, z dobrą wiarą, w rzeczowy sposób wykazać, że w piśmie poważnem, szanującem się, artykuł taki nie powinien był się ukazać.

Stosownie do napastliwego nagłówka „Bankructwo madjaryzmu“, artykuł ten zawiera, zdanie po zdaniu, same tylko zarzuty, ukłucia lub obelgi, składające się razem na obraz taki oto: Węgrzy są narodem pozbawionym wszelkich zdolności, rozkładającym się własną niemoralnością, barbarzyńskim, dłużej już uciskiem innych narodowości przewagi swej nie zdołają utrzymać, są w agonii i upadek ich jest bliski, co przepowiedziane jest w nastroju radośnie proroczym.

Najlepiej będzie zacząć od rzeczy naprawdę uchwytnych, od tych miejsc nielicznych, gdzie w artykule owym podane są cyfry. — A więc statystyka ludności w całem państwie węgierskiem wraz z królestwem chorwackiem podana jest w sposób następujący: „Liczbowo na 7 milionów Madiarów przypada 2 miliony Słowaków, 3 Rumunów, 1 Niemców, $^1/_2$ Rusinów, 3 Serbochorwatów... Cyfry są urzędowe, w rzeczywistości należy z milion zapisanych jako Madiarów policzyć do narodowości“. W ten sposób *Świat Słowiański* naliczył 6 milionów Węgrów, a ponieważ wiadomo, że cała ludność państwa węgierskiego wynosi $19^1/_4$ miliona, łatwo się cieszyć, że Węgrów tak mało. Ale urzędowa statystyka, na którą powołuje się ten artykuł, jest w rzeczywistości nieco odmienna. Mianowicie, wedle spisu ludności z r. 1900 w cyfrach okrągłych: Węgrów 8,700.000, Słowaków 2,000.000, Rumunów 2,700.000, Niemców 2,100.000, Rusinów 400.000, Serbochorwatów 2,700.000. A jeśli jaką uwagę do tego dodać należy, to tę, że na Węgrzech spis ludności odbywa się nie na podstawie osławionego „języka potocznego“ jak w drugiej części monarchii, ale na podstawie „języka ojczystego“ (a osobno wykazano w spisie, że po węgiersku

umie mówić w samych Węgrzech bez Chorwacyi i Slawonii 10 milionów ludności z ogólnej liczby niespełna 17 milionów). Tak zatem wyglądają w *Świecie Słowiańskim* „cyfry urzędowe“: z blisko 9 milionów Węgrów robi się 7 milionów, a potem jeszcze 6 milionów, jak z płatka. — Gdzieindziej potrąca *Świat Słowiański* o statystykę szkolnictwa. Mianowicie, przeciwstawiając korzystne względnie położenie Rumunów położeniu Słowaków, powiada: „Zostawiono Rumunom pewne minimum szkolnictwa, szkoły ludowe, dwa gimnazya, seminaryum duchowne“. Otóż nasamprzód wygląda to tak, jakby Słowacy wogóle szkół słowackich nie mieli; w rzeczywistości mają wprawdzie niewiele, ale mają, bo jest 480 szkół ludowych słowackich t. j. tyle mniej więcej ile i niemieckich na Węgrzech. Ale co do Rumunów, o których tu mowa, to mają oni w szkolnictwie ludowem wcale nie minimum bo 2.400 szkół (t. j. mniej więcej tyle, ile Rusini w Galicyi i Polacy w Galicyi, jedni i drudzy liczniejsi niż Rumuni na Węgrzech), a gimnazyów mają nie dwa ale pięć czysto-rumuńskich a szóste utrakwistyczne (t. j. mniej więcej tyle, ile Rusini w Galicyi). Tak wyglądają dwa jedyne miejsca w *Świecie Słowiańskim* z cyframi. Węgry leżą wprawdzie za górami, ale tylko za Karpatami, a nie za Himalajami. W poważnem piśmie tak się z cyframi nie postępuje.

Przeważnie jednak daje artykuł *Świata Słowiańskiego* nie cyfry lecz tylko poglądy, jeśli to nazwać można mianem poglądów. Więc np. z wielkim naciskiem się woła, że wielki król węgierski Maciej Korwin był Rumun, że poeta Petöfi i politycy Kossuth lub Justh to Słowianie z pochodzenia, a trochę niżej dodaje się piękną uwagę, że „liczba Węgrów powiększa się tylko renegatami“. Ale, jeżeli będziemy Węgrom wypominać Macieja Korwina, co zrobimy z Władysławem Jagiełłą, co ze Stefanem Batorym? A jeżeli po nazwiskach ludzi, którzy z najgłębszego przekonania i najszczerszych uczuć służyli narodowi węgierskiemu jako najpierwsi jego synowie, jeżeli po nazwiskach Petöfiego i Kossutha będzie się syczało o renegatach, to cóż my zaiste zrobimy z Mickiewiczem i Kościuszką? — Gdzieindziej mówi się, że „Węgry to jeszcze klasyczniejsze królestwo Judy niż Galicya“, że Budapeszt „to miasto niemiecko-żydowskie“. Tak, ale my w Polsce mamy żydów na naszych ziemiach dużo więcej niż Węgrzy, na których pod tym względem wystarczy sama tylko mała Galicya, a we wszystkich naszych stolicach, z Warszawą na czele, jest żydów stosunkowo znacznie więcej niż w Budapeszcie. — Czyta się dalej zdanie takie: „O kulturze madiarskiej można mówić tylko podobnie jak o nazwie ministeryum oświaty w Rosyi lub o sprawiedliwości w Prusiech: przez ironię“. A jednak państwo, które ma około 20.000 szkół ludowych, 220 szkół średnich, 3 uniwersytety i osobno dziesięć fakultetów prawniczych, politechnikę i kilka innych szkół wyższych, robi coś dla kultury oświatowej, nie mówiąc o gospodarczej. — Co gorsza, są w tym artykule także proste obelgi ogólnikowe o tem, że „moralnie naród madiarski upadł do głębi“, albo o „dnie piekła madiarskiego“, albo takie zdanie końcowe o całym narodzie: „Może Tisza jeszcze zgalwanizować umierającego potwora, może jeszcze wstrzykiwać mu eliksiry z różnych wyborczych sposobów, może Jeszensky jeszcze wlewać mu krew mordowanych Słowaków: to tylko przedłuży agonię madiaryzmu“. Co my w Polsce myślimy o tych naszych ruskich, pruskich i moskiewskich oszczercach, którzy ciągle mówią o „krwi mordowanych Rusinów“, o „polskiej moralności“, o „dnie piekła polskiego“ i cobyśmy powiedzieli, gdyby dziś wrogi i wyzuty z uczuć szlachetnych pismak mówił o Polsce jako o „umierającym potworze“, jak się w *Świecie Słowiańskim* mówi o narodzie, który także od lat tysiąca istnieje i także ciężko walczył i walczy o byt niepodległy.

Ale jeszcze bardziej zdumiewające jest to podstawowe, najogólniejsze twierdzenie, któremu poświęcony jest cały artykuł: że mianowicie „o kulturze madiarskiej można mówić tylko przez ironię“, że „gospodarczo lud madiarski znajduje się w stanie najgorszym w całej Europie“, że naród węgierski „jest w agonii“, że „upada“.

Stanisław Szczepanowski, jeden z największych ludzi naszych ostatniej doby, najlepszy znawca rozwoju kulturalnego i gospodarczego narodów europejskich w ostatnim okresie, pragnąc społeczeństwu polskiemu w Galicyi pokazać, co można osiągnąć przez samorząd, wytężoną pracę i świadomość narodową, wołał: patrzcie na Węgry. A dodać można, że sam on patrzył trzeźwo i zimno, bo więcej niż ktokolwiek walczył z Węgrami w przemyśle. Jednak nie tylko w sławnej „Nędzy Galicyi“ ale także np. w mowie sejmikowej z d. 20. paźdz. 1890 i sejmowej z d. 27. paźdz. 1890 (*Pisma* t. III. str. 214—220 i 248) wykazuje on w obszernych zestawieniach co Węgrzy zrobili od r. 1867, kiedy zostali gospodarzami w kraju. A więc do r. 1887 przeciętny roczny plon zboża podniósł się z 75 milionów hektolitrów na 123 tj. o 64% (w Austryi w tymsamym czasie o 12%). W ciągu lat 7 po ustawie przemysłowej skorzystało z niej 988 fabryk o sile maszyn 63.000 koni z 90.000 robotników. Dochody z podatków bezpośrednich w ciągu lat dwudziestu z 54 milionów złr. podniosły się na 99, a z podatków dochodowych z 14 milionów na 43 milionów złr. Takie cyfry przytaczał Szczepanowski w r. 1890. Dzisiaj, w dwadzieścia lat później, można dać przykład z innej znowu dziedziny i powiedzieć, że od r. 1890 do 1908 koleje węgierskie z 11.964 km. urosły do 19.641 km., że budżet węgierski, który w r. 1890 wynosił 840 milionów koron, już w r. 1903 przeniósł 2 miliardy koron i ciągle wzrasta, że gałęzie przemysłowe i handlowe już w r. 1900 zatrudniały 1,127.730 dorosłej ludności. Dzisiaj także n. p. autor znakomitego dzieła o Galicyi prof. Bujak stawia krajowi naszemu Węgry za wzór polityki przemysłowej i daje zestawienia za ostatnie lata (Galicya t. II., 334—8 i 407—8). Szczepanowski podnosił, że Węgrzy podjęli się samorządu, biorąc na się ogromne ciężary i obowiązki i wołał: „Na podstawie dokładnego studyum, ja podziwiam poprostu odwagę Węgrów w owej chwili.“ A pogląd swój zamykał stwierdzeniem „tryumfu idei węgierskiej i bezprzykładnego sukcesu samorządu węgierskiego“, mówił o Węgrach: „Dali świetny przykład po-

lityki autonomicznej i inwestycyjnej, rozwoju wszystkich sił narodowych".

Więc też poprostu zrozumieć niepodobna, jak można było o narodzie, który w ostatnich dziesiątkach lat dał i daje „świetny przykład rozwoju wszystkich sił narodowych" pisać z całym spokojem, że nie ma on żadnych sił żywotnych, żadnej kultury, żadnej gospodarki, że jest w agonii i że zjawia się jego „bankructwo".

Węgrzy nie są aniołami, postępowanie ich można ganić, ale trzeba to zrobić prawdziwie, rzeczowo, godnie.

Artykuł *Świata Słowiańskiego* był jednak rzeczywiście pod każdym względem niezwykły, zadziwiający, w piśmie szanującem się najzupełniej nieprawdopodobny. Tam gdzie podane są jakieś cyfry, uderzają jaskrawo już nie niedokładności lecz nadużycia. Podstawowe twierdzenie, głoszące brak sił żywotnych i bankructwo narodu węgierskiego, jest niedorzecznością, od której aż uszy więdną. A przedewszystkiem niskie obelgi rzucane na naród węgierski, taksamo jak przez kogokolwiek mogłyby być niesumiennie i nienawistnie rzucane na naród polski lub inny, są wręcz niegodne, nawskróś nieszlachetne. Może to jest sposób pisania słowiański, ale zapewne nie jest polski.

*

Za jednym zachodem należy już omówić inną sprawę polsko-węgierską, mianowicie sprawę ludności polskiej na stokach karpackich państwa węgierskiego. Wprawdzie artykuł „Bankructwo madiaryzmu" o tej sprawie zupełnie nie mówi. Ale mówi o niej często *Świat Słowiański* od półtora roku, rzuciwszy hasło: „Podnosimy kwestyę polską na Węgrzech" (1909, paźdz. t. II. str. 197—200). Wraca też do niej *Świat Słowiański* w dwu ostatnich zeszytach: w artykule „Z powodu wystąpienia *Budapesti Hirlapu* przeciw *Światu Słowiańskiemu*" (1911, styczeń, str. 38—46) i w artykule „Sprawa polska na Węgrzech ze stanowiska słowackiego" (1911, luty, str. 115—127).

Wiadomo, że po węgierskiej stronie granicy, na stokach górskich, mieszka od wieków ludność polska, która swe narzecze, takiesame jak góralskie narzecze z naszej strony gór, zachowała podziśdzień. Ludność ta tworzy zbite osady i wedle ostatnich obliczeń wynosi podobno około 125.000 głów.

Ludnością tą zajmuje się *Świat Słowiański* w dwojaki sposób: pożyteczny i niepożyteczny.

Pożyteczne jest wszystko co się w *Świecie Słowiańskim* pisze gwoli lepszego poznania tego ludu. Cały szereg pisarzów polskich od r. 1850 zwracał uwagę na tę osamotnioną ludność polską. Od lat kilku myśli się o niej i mówi w Tow. Szkoły Ludowej. Otóż i w *Świecie Słowiańskim*, w którym pisali w tej sprawie pp. Krotoski (1908, I. 338—57) i Smólski (1908, II. 886—907 i 1909, II. 107—124), ukazała się z końcem r. ub., w listopadzie, bardzo pouczająca praca p. E. Kołodziejczyka p. t. „Ludność polska na Górnych Węgrzech" (1910, II. 217 do 250). Wszystko zatem, co daje lepszą znajomość tego ludu, a przez to i podstawę do działania celem ochrony jej polskości, jest pożyteczne i godne uznania.

Mniej pożyteczny jest sposób w jaki *Świat Słowiański* bierze się do obrony tej ludności.

Mianowicie, wobec tego, że od r. 1880 w spisach ludności nie była ona zapisywana jako polska ale jako słowacka, *Świat Słowiański* nie znajduje słów dość silnych, by za to napadać na Węgrów. Czyta się tam zdania takie: „Występujemy przeciw temu, żeby znosić od Węgrów najcięższe upokorzenia, a nawet prześladowanie" (1909, II. 198), albo takie: „Posunęli się Węgrzy do najgrubszej prowokacyi, do największej obelgi, jaką nam można było wyrządzić: zaprzeczyli istnienia narodowości polskiej w swem państwie" (1911, I. 38).

Aby tę sprawę rozumnie i sprawiedliwie ocenić, trzeba się zastanowić co tu zrobiły i robią wszystkie trzy czynniki, wchodzące w grę: Polacy, Słowacy i Węgrzy.

Co zrobili Polacy? Odpowiedź jest krótka: nic. Ludność ta była przez nas samych zapomniana i zaniedbana zupełnie. Nie mając żadnego poparcia z za Karpat, nie mając także na miejscu ani jednego księdza polskiego i ani jednej szkoły polskiej, sama ona nie wie o swej polskości i zapytana o język, odpowiada, że mówi „po naszemu" a o narodowość, że „my tu Słowiaki nie Słowaki (Smólski 1909, II, 114).

A Słowacy? Oni tę ludność polską uważają za swoją. Mają zaś nad nią pewną władzę przez szkoły słowackie i przez księży, którzy są Słowakami. Oto co pisze, spokojnie i bezstronnie patrząc, p. Kołodziejczyk: „Słowaccy księża, słowackie i madiarskie szkoły, słowackie nabożeństwa, kazania i książki do modlenia bezwiednie, bez wyników, pochłaniają polski, przez swoich zapomniany żywioł... Podczas nieobecności księdza w kościele usłyszeć można pieśni i modlitwy polskie, z chwilą zaś jego wejścia rozbrzmiewa pieśń, modlitwa i kazanie po słowacku. Wycieczki religijne górali do miejsc odpustowych polskich, zwłaszcza Kalwaryi i Częstochowy, nie pozwalają Słowakom wyrugować zupełnie pieśni polskich". Rzecz jest zatem jasna: Słowacy, godni uczniowie Czechów śląskich, położyli rękę na tej ludności polskiej. Przeziera to bardzo wyraźnie także z głosów słowackich o tej ludności, zamieszczonych w ostatnim zeszycie *Świata Słowiańskiego* (1911 luty, str. 115 do 127), który pracę p. Kołodziejczyka rozesłał działaczom słowackim i otrzymał ich odpowiedzi. Trzech z nich odniosło się przychylnie do tej ludności jako polskiej, czwarty „wyraził wątpliwości, czy język tego ludu uważać należy za polski, skoro on sam nie nazywa siebie Polakami" (to właśnie *Św. Sł.* tylko streścił, wszystko inne podał w całości) ale właściwie we wszystkich tych listach widzieli owi działacze słowaccy przedewszystkiem dobrą sposobność do skarg i napaści na Węgrów, oraz niezły argument na rzecz „rozwiania złudzeń co do szalbierstwa polsko-madiarskiego" jak jeden z nich pisze. Poza tymi listami odezwało się także pismo słowackie *Ludove Noviny* w artykule o spisie ludności i z całą stanowczością, w obszernym wywodzie oświadczyło, że „mieszkańcy ci winni zapisać się za Słowaków". Otóż *Świat Słowiański* w swych uwagach redakcyjnych szerzy pogląd na tę sprawę nawskróś stronniczy, przymykając oczy

*

na bardzo wyraźne dążności słowackie, aby wszelkie zarzuty skierować przeciw Węgrom. Powiada mianowicie: „Z naszej strony wystrzegać się należy jak najściślej zwalania winy za obecny stan rzeczy na Słowaków; byłoby to przeciwne zdrowemu rozsądkowi zarzucać Słowakom, że nas „uciskają“, skoro sami ledwie dyszą od ucisku“. W odpowiedzi na to wystarczy przypomnieć, że Rusini galicyjscy którzy zawsze tak narzekają na ucisk, jednak z największą skwapliwością rutenizowali polską ludność wiejską na wschodzie, mieli na to dosyć czasu i sił i biją się bardzo o tych „łacinników“. Zdanie *Świata Słowiańskiego* jest zatem co najmniej grubo naiwne, a nawet bodaj niezupełnie szczere, bo przecież w owym artykule z maja 1910 umiał on dostrzedz u tych ledwie dyszących Słowaków „genialność gospodarczą Czechów w połączeniu z mądrością polityczną pierwszych wodzów Koła Polskiego“. Co więcej *Świat Słowiański* w swej stronniczości i przymykaniu oczu na dążności słowackie poszedł w owych uwagach redakcyjnych jeszcze dalej: „Biorąc rzecz ściśle, my jesteśmy dłużnikami Słowaków za to, że szerzyli sztukę czytania i pisania wśród naszego ludu, wyręczając nas niejako, niedbalców“. Piękne to zdanie! Trzeba będzie podziękować Czechom za to, że dzieci polskie na Śląsku uczą czytać i pisać... po czesku, a wiadomo, że i rząd pruski ciągle z tem występuje, że szerzy u nas oświatę i uczy lud nasz czytać i pisać .... po niemiecku, a rząd rosyjski .... po rosyjsku. W imię „zdrowego rozsądku“ postanowił *Świat Słowiański* nie szukać winy po stronie Słowaków i zasłaniając stronniczo prawdę, wlazł w takie oto zdrowe i rozsądne rozumowanie.

A co zrobili Węgrzy? Ludność, którą my sami zostawiliśmy w zupełnem zaniedbaniu, która nie umiała powiedzieć, że mówi po polsku a tylko że po naszemu, którą działacze i księża słowaccy podawali za słowacką i pilnowali tego przy spisach ludności, zapisano w statystyce węgierskiej nie jako polską ale razem ze słowacką jako słowiańską (po węgiersku „tot“). Nawet o madiaryzowaniu i fałszowaniu statystyki na korzyść madiaryzmu mowy być nie może, bo wszakże policzono tę ludność, zgodnie z tem co mówiła ona z namowy działaczy i księży słowackich, za słowacką a nie za węgierską. Ostatecznie nie jest obowiązkiem państwa węgierskiego hodować polskość ludności, która sama o swej polskości nie wie, a dopiero gdy dzięki działalności obudzi się tam to poczucie i zjawią się żądania, będzie można mówić o tem czy rząd węgierski chce je spełnić czy nie. Wszak i my w Polsce, jeśli mamy jakąś nieliczną ludność obcą, np. niemiecką, nie hodujemy jej niemieckości własnymi zabiegami, za najbardziej pożądane uważamy, aby stała się ona polską, a dopiero gdy wystąpi ona świadomie z pewną odrębnością, uważamy uznanie tej odrębności za niemiłą konieczność. Jeśli się spokojnie zważy to wszystko, jeśli się przypomni z jaką uprzejmością mówi *Świat Słowiański* o Słowakach, którzy na razie są jedynymi zaborcami tej ludności, to całkiem sumiennie, z ręką na sercu, powiedzieć się musi, że tak gwałtowne oskarżanie Węgrów w tej sprawie, wołanie o „najcięższem upokorzeniu a nawet prześladowaniu“, o „najgrubszej prowokacyi i największej obeldze“ jest nadużywaniem wielkich słów, jest odwracaniem oczu od prawdy, jest fałszywem krzykactwem, jest niesumiennością.

Tem bardziej, że dzisiaj mamy już namacalne doświadczenia, uchwytne dowody, mianowicie w ostatnim spisie z r. 1910.

Najpoważniejsze pismo węgierskie *Budapesti Hirlap* zamieściło, jak już wspomnieliśmy dnia 19. czerwca 1910, artykuł, w którym wskazano, że tę ludność polską w Górnych Węgrzech należy zapisywać jako polską a nie jako słowacką. Wiemy z własnych wiadomości i widzimy ze skutków, że wezwanie to znalazło żywy oddźwięk wśród Węgrów owych okolic a przedewszystkiem wśród urzędników węgierskich. I rzeczywiście ci komisarze spisowi, Węgrzy, którzy już byli ostrzeżeni, wpisywali ludność tę jako polską. Jak się na to zapatrywali Słowacy, widać z wspomnianego artykułu *Ludovych Novin*: „Słowaków ubędzie znacznie przy teraźniejszym spisie ludności; w samej Orawie może ich ubyć 24.000, jeżeli spisywano lud wszędzie tak jak np. w powiecie tersteńskim; tam w gminach od polskiej strony oznaczano język polski jako ojczysty; nie możemy twierdzić czy to na wyższy rozkaz czy też tylko niektórzy krzykacze chcieli się odznaczyć i pozyskać sobie zasługę, że zmniejszyli liczbę Słowaków“. Na podstawie wiadomości, które w tej sprawie *Rplta* otrzymała z samych miejsc, o które chodzi, powiedzieć można, że gdy spis przeprowadzał Węgier, znający już sprawę, wpisywał ludność tę jako polską, gdy Słowak, jako słowacką, (tak, że będą większe wsie, w których połowa wsi będzie wpisana jako polska, a druga połowa jako słowacka) a nadto księża i działacze słowaccy wszelkimi sposobami starali się przeciwdziałać podawaniu tej ludności za polską. Podamy przykład uchwytny, przedstawiony w liście w tej sprawie. Jak zwykle, spis przeprowadza t. zw. notar w kilku gminach należących stale do jego zakresu urzędowania, przy pomocy swych pisarzy, nauczycieli i t. d. W jednym takim okręgu pisarz Węgier, który już znał artykuł *Budapesti Hirlapu*, wpisał w swojej części ludność tę jako polską, ale nauczyciel słowacki w drugiej części jako słowacką. Wskutek zarzutów pisarza Węgra poszedł nauczyciel na nowo z ludnością przeprowadzić spis, ale wrócił z niczem, bo ksiądz słowacki nie pozwolił ludności podawać się za polską i groził: „Jabym chciał widzieć, żeby tych kto za Polaków wpisał“.

Z całą stanowczością zatem stwierdzić można, że przy ostatnim spisie za polskością tej ludności stanęli przynajmniej w pewnej mierze Węgrzy, a przeciw polskości bardzo zacięcie Słowacy.

Na podstawie wszystkich tych wiadomości należy z całą otwartością powiedzieć, jak wygląda stanowisko *Świata Słowiańskiego* w tej sprawie. Pismo to mogło powtarzać zarzuty innych Słowian przeciw Węgrom, ale nie miało żadnych zasadniczych i drażliwych danych, na

podstawie których mogłoby przeciw Węgrom wystąpić nie ze słowiańskiego lecz z polskiego stanowiska. Ale *Świat Słowiański* niechętnem okiem patrzył na zbliżenie polsko-węgierskie, niemiłe ze stanowiska słowiańskiego. Aby je zwalczać, chwycił się sprawy ludności polskiej w Górnych Węgrzech. Nie poprzestał na rzeczowem przedstawieniu jej stanu i potrzeb, co było bardzo pożyteczne. Ukuł sobie nadto z tej sprawy broń polityczną. Ale ukuł ją i używał jej niesumiennie: przesłaniał o ile możności dążenia i winy Słowaków, a przeciw Węgrom wytaczał zarzuty przesadne, niesłuszne, napastliwe.

To stanowisko *Świata Słowiańskiego* jest jednak, co więcej, bardzo szkodliwe dla samej sprawy tej ludności polskiej na Węgrzech.

Rozumna polityka polska musi wziąć za podstawę zdanie, które już wypowiedział p. Kołodziejczyk: „O rewindykacyi polskich osad na rzecz Polski niema mowy, narody bez bytu politycznego o zdobyczach marzyć nie mogą, żelazny pierścień Karpat już je do Węgier przydzielił". To sobie trzeba powiedzieć co do państwowej, terytoryalnej, przynależności tego ludu polskiego za Karpatami. Pozostaje jednak obowiązek utrzymania i rozwoju jego polskości, obowiązek, który rozumiemy także, gdy chodzi o najdalsze wychodźtwo nasze, a Węgrzy, gdy chodzi o nich. Ludność ta powinna mieć księży polskich, a nie słowackich, szkoły polskie a nie słowackie. To się nie sprzeciwia interesowi państwowemu Węgrów. I to otrzymać możemy od nich pokojowo. Pewne tarcia być mogą i niewątpliwie będą, ale niema tu powodu do poważnienia dwu narodów. Nie otrzymamy niczego kłótnią. Najgorszą drogę obrał *Świat Słowiański*, który chce w tej sprawie sojuszu ze Słowakami, zaciekłymi wrogami Węgrów, a także głównymi zaborcami tej ludności, a wobec Węgrów występuje wojowniczo, buńczucznie, nienawistnie, napastliwie.

W ten sposób, dla ratowania pozorów słowiańskich, prowadzi *Świat Słowiański* w sprawie ludności polskiej na Węgrzech najnierozumniejszą i najszkodliwszą z polskiego stanowiska politykę.

*

Jeśli jednak *Świat Słowiański* napada na naród węgierski jako na umierającego potwora, w sposób, który każdego szlachetnego człowieka musi oburzyć, jeśli także w sprawie ludności polskiej na Węgrzech daje wyraz nie tyle polskiej trosce o nią, ile słowiańskiej nienawiści ku Węgrom, nie dzieje się to bez przyczyny: *Świat Słowiański* jest zasadniczym przeciwnikiem zbliżenia polsko-węgierskiego, które zaczyna kiełkować, i stawia tej myśli wszelkie zapory.

Jakaż tedy jest myśl polityczna *Świata Słowiańskiego*?

Obraz swoich nadziei roztacza *Świat Słowiański* właśnie w artykule o „bankructwie madiaryzmu": Madiarzy wyginą, upadną, a na gruzach ich panowania rozsiędą się Serbowie, Chorwaci, Słowacy, Rumuni. Takie mają być polityczne widoki i rachuby polskie. Czem będą dla nas ci Rumuni i ci Słowacy? Kiedy ten przewrót się dokona, po ilu latach czy wiekach? Tego nikt oczywiście nie wie, ale *Świat Słowiański* nawet się o to nie troszczy. Wzamian za te zamglone widoki mamy bić w Węgrów, na których nie trzeba dopiero czekać, bo oni już dzisiaj są, długo byli, długo będą, a dla nas przedstawiają się jako możliwy i bardzo prawdopodobny sprzymierzeniec. Oto polityka *Świata Słowiańskiego*. Jak zwykle tak i tutaj opiera się ona o zamierzchłą przeszłość: tak jak zawsze każe Polakom pamiętać o jakiejś pra-wspólności słowiańskiej, tak i tutaj każe mieć żal do Węgrów za „zniszczenie wielkomorawskiego państwa Świętopełka", bo „znaczenie tego faktu jest dla dziejów europejskich aż po dziś dzień wprost nieobliczalnej doniosłości" (r. 1908, t. II. str. 961). I jak zwykle każe nam czekać na tę przyszłość, kiedy to Rosyanie będą mieli politykę uczciwą, a Czesi niesamolubną, tak i tutaj czekać mamy, aż Węgrzy pożarci zostaną przez Słowaków i Rumunów.

Są to, skoro już musi się o tem mówić, polityczne dziecińitwa.

Węgrzy i Polska mają wspólne losy historyczne i wspólne zadania polityczne. Oba narody uległy temusamemu naporowi germańskiemu od zachodu, z którym współdziałał rosyjski od wschodu. Dla obu narodów wrogiemi są dzisiaj dążenia prusko-wszechniemieckie i austryacko-wszechniemieckie oraz rosyjsko-słowiańskie. Oba narody dążą do tego, aby ich organizmy państwowe, przed tysiącem lat do życia powołane, na nowo samodzielnie żyć zaczęły. Dzisiaj porozumienie polityczne węgiersko-polskie niemal zupełnie nie istnieje, ale zaczyna coraz powszechniej odzywać się poczucie, że istnieć ono powinno.

Po ankiecie żydowskiej.

Spróbujmy teraz na podstawie tych przemówień, jakie w toku ankiety wygłoszone zostały, ustalić jakieś kierunki główne, jakieś zasadnicze punkty widzenia żydów na stosunek ludności żydowskiej naszego kraju do jego ludności polskiej. Bo ostatecznie około tego tematu, mimo obsłonek gospodarczych obracała się cała rozprawa.

W tym względzie pośród członków ankiety zarysować się zdaje linia trojaka.

Jedna, to linia programowa asymilatorów. Zdaje mi się, że stanowisko ich jest bardziej uczuciowe niż świadome. Przedstawiciele to odłamu, który się sam przejął obyczajami, duchem, sposobem myślenia otoczenia polskiego i w upodobnieniu się takiemsamem do otoczenia mas żydowskich widzi rozwiązanie kwestyi żydowskiej w kraju.

Czy przeprowadzenie praktyczne i wartość życiowa tego programu przedstawia się w umysłach jego zwolenników jasno — nie wiem, a nawet wyraźnie o tem wątpię. Dlaczego — o tem mowa będzie dalej.

Linia programowa drugiego, bodaj że najliczniejszego odłamu przedstawicieli żydów jest dość nieuchwytna. Nie głoszą oni hasła asymilacyi, równocześnie wszakże nie stawiają żądania wyraźnego wyodrębnienia się narodowego żydów. Uznają prawdę, że prawa życia i rozwoju gospo-

darczego są dla wsystkich jednakie, wskutek czego przy rozpatrywaniu bolączek nędzy żydowskiej skłonni są wglądać w ogólne położenie kraju, w którym żyją. Podkreślają chętnie, że stoją na stanowisku „ogólno-krajowem“. Równocześnie wszakże całą siłą przywiązania ciężą przedstawiciele ci ku odwiecznym formom obyczajowości żydowskiej, stają ogromnie gorąco w obronie jej praw do odrębnego bytu, żądają od kraju, żeby życie innych odłamów społeczeństwa ukształtował tak, aby nie wchodziło w kolizyę z obyczajami i wierzeniami żydów, by zostawiło rozwojowi osobnej kultury żydowskiej w kraju wolną przestrzeń. Linia trzeciego kierunku żydowskiej myśli społecznej jest w przeciwieństwie do kierunku poprzedniego najzupełniej jasna — to linia programu syonistycznego. Odłam ten w ankiecie był słabo reprezentowany, bo przez jednego tylko posła Standa. Pan poseł zato, wynagradzając tę słabość liczebną, no... i słabość treści swych wywodów — usiłował pokryć to rozmachem krasomówczym, przemawiając — praesto, fortissimo, furioso!

A teraz zdajmy sobie sprawę z życiowej — z naszego polskiego punktu widzenia — wartości zarówno pod względem gospodarczym jak i narodowo-politycznym — owych trzech kierunków myśli społecznej żydowskiej, które wpośród biorących udział w ankiecie działaczów żydowskich zdołaliśmy rozróżnić.

O syonizmie nie będziemy mówili. Ten ma jedną, ale dużą zaletę jasnego stawiania sprawy. Określenie sobie stanowiska wobec jego wojowniczych dążeń nie nastręcza w tych warunkach trudności.

Znacznie mniej prostą jest sprawa kierunku asymilatorskiego. Zaznaczyłem już, że stanowisko samych jego wśród żydów szermierzy uważam za bardziej uczuciowe niż wyrozumowane i przemyślane. Dowodem tego jest to zdumienie, jakie zdradzają sami propagatorowie kierunku asymilatorskiego wobec dzisiejszego stanu zagadnienia żydowskiego w Polsce.

Powiadają: — podczas ankiety padły te słowa — „Myśmy szli do współwyznawców naszych z czytelniami polskiemi i z nauką polskości, i praca nasza znajdowała powodzenie. Ale przyszedł nieszczęsny kierunek antysemicki, i oto widzimy się otoczeni młodą inteligencyą żydowską, która o naszych ideałach znać nie chce i przeciwstawia się zarówno naszym dążeniom, jak całemu społeczeństwu polskiemu“.

Ta skarga, zarówno jak i stwierdzone przez nią fakty są bardzo charakterystyczne. Tylko, czy skarga sama zarówno jak i pojmowanie dotychczasowe programu asymilacyjnego tak przez jego wyznawców czynnych jak też przez większość społeczeństwa polskiego — nie cierpią na pewien błąd logiczny, i to bardzo zasadniczego znaczenia. Chodzi o pytanie, czy program asymilatorski może mieć zastosowanie do mas.

Czy można zasymilować masę kilkumilionową — mówię o sprawie żydowskiej na przestrzeni całej Polski — która w ciągu tysiącoleci wyrobiła sobie żelazną stałością odznaczające się obyczaje, własny system etyki, wierzeń i oparte o te czynniki metody rozumowania, składające się razem na zjawisko odrębnej kultury? Każdy polak odpowie na to stanowczym przeczeniem. A przecież program asymilacyi chciano stosować do żydów jako środek powszechny, bez żadnych zastrzeżeń i wątpliwości.

Było to złudzenie, które pierzchnąć musiało z chwilą, kiedy żydzi i warstwie inteligentnej społeczeństwa naszego ukazali się jako masa, tem bardziej, że do odrębności kulturalnej, jaką ta „masa“ ze sobą wniosła, przyłączył się czynnik współzawodnictwa gospodarczego.

Z chwilą gdy masa żydowska znalazła możność zabierania głosu przez swych przedstawicieli wśród inteligencyi, ostatnio też przez własną prasę żargonową, ujawiły się dążności żydów od asymilatorskich zgoła różne.

Streszczają się one w owym kierunku pośrednim, który oznaczyliśmy jako drugą linię programu z pośród ujawnionych w ankiecie.

Kierunek to, który wiele daje do myślenia.

Przedstawiciele jego stwierdzali podczas ankiety wielokrotnie, że stoją na stanowisku „ogólno-krajowem“. Wywody ich dalsze oświetliły to ich stanowisko w taki sposób, iż doszukując się przyczyn nędzy mas żydowskich uwzględniają oni ogólne warunki ubóstwa gospodarczego kraju, i z poprawy położenia proletaryatu żydowskiego, który uważają za najnędzniejszą warstwę społeczeństwa, wróżą korzyści dla całego kraju.

Ten ogólny punkt widzenia tracą wszakże natychmiast z oczu z chwilą, gdy przechodzą — do szukania na nędzę żydowską środków zaradczych. Tu zarówno w zakresie środków oświatowo-wychowawczych, jak w dziedzinie organizacyi życia gospodarczego żądają oni od kraju postępowania, które przychodząc z pomocą gospodarczą żydom, nie tylko nie naruszałoby w niczem ich odrębności wyznaniowej i kulturalnej, lecz przeciwnie przystosowałoby do niej zarówno organizacye szkolne krajowe, jako też i ogólne urządzenie życia gospodarczego. Widzimy, że program ten, wychodzący ze zjawisk życia ekonomicznego, w rzeczywistości wybiega daleko poza ich dziedzinę. Nie dziw więc że wątpliwości, które nastręcza, są nie tylko natury gospodarczej, lecz także politycznej.

Żydzi w większych zbiorowiskach stanowią społeczeństwa, w których poczucie spójności wewnętrznej i odrębności nazewnątrz — zwane przez nas poczuciem narodowem — oparte jest przedewszystkiem na czynniku religijnym i związanych z religią, wypływających z niej wprost obyczajach.

W dziejach unii pod zaborem rosyjskim mamy w łonie własnego społeczeństwa przykład w jak nierozerwalny węzeł mogą się spleść uczucia religijne i narodowe.

Żądanie takiej organizacyi życia kulturalnego i gospodarczego w kraju, które uwzględniałoby w swym ustroju odrębności religijno-obyczajowe żydów i pozwalałoby na dalszy ich rozwój, jest żądaniem umocnienia wewnątrz kraju i społeczeństwa nowego, odrębnego żywiołu narodowego. Jest to żądanie może do przyjęcia ze stanowiska „krajowego“, ale nigdy ze stanowiska polskiego.

Tak, ale bez tych środków szczególnych, bez przystosowania ustroju szkolnego i gospodarczego kraju do wiekowych zwyczajów i poglądów środowiska żydowskiego, kultura nowoczesna nie prze-

niknie w masy żydowskie i nie podniesie się ich poziom gospodarczy, a co za tem idzie w kraju w dalszym ciągu krzewić się będzie nędza wśród znacznej części jego ludności.

Jak wybrnąć z tej antynomii?

Zdaje się, że już sam charakter antynomiczny kwestyi żydowskiej w Polsce wskazuje na sposób wyjścia z niej. Jedyną radą na antynomię wszelką jest jej usunięcie. Antynomie nie mogą być rozwiązywane.

Społeczeństwo nasze musi dotrzymywać kroku narodom innym w rozwoju gospodarczym. Jest to dla niego sprawą bytu. Nie może ono zatem znosić wpośród siebie masy, stanowiącej czynnik gospodarczo wsteczny, żyjący gospodarczo życiem anachronicznem. Ale z drugiej strony punkt ciężkości naszego życia leży w zagadnieniu narodowem. Na punkcie narodowym byt nasz jest zagrożony najbardziej, tu też musimy wytężać najwięcej sił w kierunku samoobrony. Wobec tego społeczeństwo nasze, nie może dla podniesienia gospodarczego, którejś ze swych części wzmagać jej odrębności narodowej, a temsamem osłabiać się na punkcie najczulszym.

A więc?

Wnioski z poprzedniego proste.

W stosunku do żydów społeczeństwo polskie może się trzymać tylko polityki asymilacyjnej. Zasymilować całej masy żydowskiej nie możemy. Bo i zdolność chłonna po naszej stronie i zdolność wsiąkania po stronie żydowskiej są ograniczone. Znosić istnienia w społeczeństwie mas nędzarzy żydowskich, uwsteczniających nasz własny rozwój gospodarczy również nie możemy.

Pozostaje jedno: stosunek ilościowy żydów do Polaków w społeczeństwie naszem powinien być sprowadzony do miary, która nie postawi tam istotnej i całkowitej asymilacyi żywiołu żydowskiego.

Utopia! — powiedzą jedni. Okrucieństwo! — wołać będą inni.

Żadne z dwojga. Że nie utopia — dowodem rozwój stosunków żydowskich w zaborze pruskim. Okrucieństwo? A czyż obecny stan mas żydowskich, skupionych w „ghettach" naszych miast i miasteczek nie jest podwójnie okrutny? Pozwolić mu trwać — to popełnić okrucieństwo i na tych masach i na kraju własnym, którego zdrowy rozwój będzie się w ten sposób powstrzymywało. Znieść go w sposób żądany przez żydów — to nadszarpnąć się w miejscu najbardziej chorem, to osłabić się w walce narodowej, prowadzonej przez nas z takiem wytężeniem wszystkich sił. Dlatego, jeśli organizowanie się wewnętrzne naszego narodu i jego postęp gospodarczy pociągają za sobą wypieranie żydów z pewnych dziedzin zarobkowania, my nie możemy przeciwdziałać temu zapomocą jakichś szczególnych środków społecznych. Broniąc własnego zdrowego rozwoju ekonomicznego, musimy łagodzić skutki jego przełomów i dla warstw przez nie dotkniętych obmyślać środki pomocy. Ale o ile pomoc ta okaże się niewystarczającą dla pewnych grup zawodowych i społecznych żydowskich, to dla nas musi to być wskaźnikiem, że grupy te stanowią przewyżkę żywiołu żydowskiego ponad ilość możliwą do zniesienia w kraju naszym ze względu na gospodarczą i narodową przyszłość społeczeństwa. Przewyżkę tę musimy uważać za skazaną na opuszczenie naszego kraju i wsiąknięcie w społeczeństwa mniej nasycone żywiołem żydowskim, niż nasze. Rozwijanie usiłowań dla zatrzymania tej części społeczeństwa żydowskiego w kraju byłoby nierozsądkiem zarówno w stosunku do niej jak do narodu własnego. Jest to może rozwiązanie sprawy twarde, lecz jedynie odpowiadające stosunkom. A w rzeczach społecznych najgorsze jest trzymanie się złudzeń.

Że ankieta na utarte złudzenia i na rzeczywiste zagadnienia wagi pierwszorzędnej rzuciła snop światła, w tem jej niewątpliwe znaczenie.

Nie rozwiązała ona żadnej z kwestyi, z których splotu składa się sprawa żydowska, co nie było zresztą jej zadaniem. Ale zato wyjaśniła jedynie w stosunku do tych kwestyi właściwe stanowisko: — badać nie biadać.

O ile badania wdrożone raz przeprowadzone zostaną wyniklïwie dalej, o ile w kierunku tym pójdą przedewszystkiem żydzi, którzy obecnie wystąpili istotnie z biadaniami, nie z badaniami, sprawa żydowska zostanie wreszcie oświetlona ze wszystkich stron i na drodze do rzeczywistego jej rozstrzygnięcia da się osiągnąć nie jedną korzyść społeczną, da się usunąć nie jedną zbyteczną dolegliwość ekonomiczną.

Wtenczas znaczenie obecnej ankiety zostanie wyzyskane w całej pełni.

Dr. Rom.

Włodzimierz Antonowicz.

(Zarys jego działalności społeczno-politycznej i historycznej).

IV.

Zmiana narodowości (1861).

Gdy na uniwersytecie kijowskim potworzyły się naprzód koła koleżeńskie, a później ukształtowały się z nich grupy polityczne, Antonowicz nie odrywał się wcale od polskości. Grupy te nazywały się g m i n a m i. Istniała tedy gmina: Ukraińska, Podolska, Wołyńska, Litewska i Królestwa Kongresowego. Nie tworzyły one bynajmniej związków zamkniętych i nosiły cechy raczej terytoryalnych granic, niż politycznych lub społecznych. Pod względem społecznym do wszystkich gmin należała prawie wyłącznie szlachta, gdyż inne warstwy do uniwersytetu nie uczęszczały. Członkowie sami przystępowali do tej gminy, do której pragnęli zaliczyć się na podstawie bądź przynależności terytoryalnej, lub przekonań, bądź związków koleżeńskich. Wolno było na zebrania jednej gminy przychodzić członkom innych — po prostu dla lepszej informacyi co się śród młodzieży dzieje. Antonowicz należał do gminy ukraińskiej. Sosiński utrzymywał, że początkowo do litewskiej się zapisał.

Duch całej młodzieży ówczesnej akademickiej w Kijowie był mocno demokratyczny, z zabarwieniem z jednej strony ludowem, według słusznego hasła emigracyjnego: w czyjem

ręku lud, w tego ręku sprawa polska, z drugiej antyszlacheckim. Jeżeli sympatye dla ludu wiejskiego wogóle łatwo dadzą się wyjaśnić, zrozumieć i usprawiedliwić, to tendencye antyszlacheckie były tylko następstwem patrzenia na dzieje własne przez pryzmat rosyjskiej polityki i szkoły. Zetknąwszy się z tą szlachtą w robocie, że tak powiem, pozbywano się rychło uprzedzeń i fałszywych sądów, gdyż przekonano się, że ona jedna dotychczas przechowywała w duszy swojej ideę polską, że tą ideą walczyła przez sto lat prawie, a brak powodzenia i nieszczęścia, jakkolwiek dotykały cały naród, to ją — najwięcej; bo ona ziemią, życiem i krwią płaciła za niepomyślną walkę o tę ideę. Oczywiście, że w oczach Rosyi ci wieczni buntownicy, ci szlachcice, musieli uchodzić za najgorszych ludzi, bo gdy lud wiejski milczał, mieszczaństwo ledwie półgębkiem odzywało się, szlachta jedna walczyła i dla tej walki nie żałowała ani mienia, ani życia, ani pieniędzy. Urzędowi historycy nie lubili wobec polskiego audytoryum mówić szeroko o swoich oprycznikach, bojarach i dworzanach carskich, którzy krew z ludu ssali, ale o nadużyciach, swawolach i fantazyach polskich szlachciców z lubością rozprawiali. Wytworzyło się w ten sposób pojęcie o szlachcicu polskim jako o osobniku, dźwigającym na sobie zbrodnie polityczne, społeczne, narodowe z przeszłości, a dziś niezdolnym do niczego, szkodliwym, godnym wytępienia tak, jak wilcy w Anglii.

Nie myślę wcale bronić nadużyć szlachty polskiej, jak nie dadzą się obronić nadużycia klas rządzących nigdzie, ale inny i z innego stanowiska jest pogląd na te nadużycia historyków rosyjskich, inny nasz. Gdy przeto większość młodzieży kijowskiej, znając wady własnego narodu, nie odrywała się jednak od niego, Antonowicz w krytyce tego społeczeństwa poszedł do ostatnich granic i doszedł do odstępstwa. Wiodła go do tego chęć przewodnictwa, chęć zajęcia dominującego stanowiska i takiesamo łudzenie się, jakiemu ulegał Chmielnicki gdy wierzył, że pod „mocną ręką“ znajdzie opiekę i wolność. Wyłączył się tedy Antonowicz z gminy polskiej i założył odrębną, swoją H r o m a d ę ukraińską — bez ukraińców. Należeli do niej sami Polacy. Nie wiem czy kilku Rusinów o niewyraźnym patryotyzmie ruskim znalazłoby się w tej gromadzie. Przd r. 1863 inteligencyi ruskiej na Ukrainie nie było prawie, nie było przeto komu i z Antonowiczem łączyć się. Z H r o m a d y owej, powoli usuwać się poczęli Polacy. Jednym już wówczas krytyka Antonowicza pachniała odszczepieństwem, drudzy dojrzewając umysłowo, odrywali się od jego hajdamackiej demokracyi. Przy H r o m a d z i e pozostały żywioły najbardziej bałamutne, najskrajniej demokratycznie usposobione, a przeniknione sympatyami o nieokreślonych ściśle granicach, dla Rusi, łudziły się możnością odegrania samoistnej roli. Z działalności, a bardziej ze słów Antonowicza widać było, że marzy o stworzeniu stronnictwa ruskiego, niezależnego od Polaków. Walka z Rosyą stawała się coraz bliższą, coraz bardziej nieuniknioną. Co ona przyniesie, nikt na pewno nie wiedział. Antonowiczowi zdawało się, że w tej walce udział weźmie także owo sformowane przez niego w zarodku stronnictwo ruskie bez Rusinów — dyplomatycznie, i coś będzie mogło zyskać dla narodu. Dotychczas grupa ruska, z Antonowiczem na czele a z Polakami jako członkami, działała wspólnie z polskiemi, ale prócz dyskusyi koleżeńskiej postawiono pytanie: czy, zamiast popierać wspólne dążności, nie lepiej byłoby walczyć o interesy wyłącznie ruskie? Antonowicz rozstrzygnął pytanie na korzyść potrzeby samodzielnego ruchu ruskiego. To był początek rozłamu w H r o m a d z i e. Większość stanęła na gruncie państwowości polskiej, mniejszość z Antonowiczem na czele, postanowiła działać na własną rękę i żądać od Rosyi zupełnej autonomii Rusi. W styczniu 1861 roku, w piśmie wydawanem w Petersburgu przez garstkę niezdecydowanych ukrainofilów, ukazał się pierwszy artykuł Antonowicza przeciwko ruchowi polskiemu na Rusi, identyfikującemu sprawę Rusi z sprawą polską. Artykuł ten był ogromnie na rękę Rosyi, bo wprowadzał rozłam i rozdwojenie do jednolitej dotychczas pracy młodzieży kijowskiej. Był on klinem, który rozsadzał i osłabiał całą polską robotę. Doniosłość tego artykułu oceniono należycie i zwrócono uwagę na młodego zapaleńca, który tak w porę przychodził im z pomocą.

Jakkolwiek Antonowicz ukończył uniwersytet już w r. 1860, nie zrywał jednak związków koleżeńskich, i jak widzieliśmy, pracował w Centralizacyi. Z chwilą założenia H r o m a d y pojęcia jego polityczne i społeczne poczęły odchylać się od wspólności polskiej. Stawało się to coraz bardziej jaskrawem z rozpoczęciem jego karyery służbowej. Po ukończeniu uniwersytetu, jako nauczyciel wykładał w I. kijowskiem gimnazyum łacinę, a w rok później historyę Rosyi w korpusie kadetów w Kijowie. Nienawiść do wszystkiego co polskie otwierała mu drogę — do pracy, której nie każdy chciał się podjąć. Niegdyś dla hetmaników kozackich, kłócących się między sobą i dla starszyzny posyłano ruble i sobolowe szuby, teraz urzędniczy chleb zamykał usta ruskiej inteligencyi. Za tym chlebem poszedł Antonowicz. Budził w obcym rządzie — może zupełnie nieświadomie — nadzieje sojuszu i nadzieje te nie zawiodły. W chwili nieoczekiwanego i niezwykłego rozbudzenia się kresowego społeczeństwa, taki człowiek jak Antonowicz, w walce z własnem społeczeństwem będący, niezmiernie mógł być pożytecznym. Uśmiechano się do niego, a on, może nawet bezwiednie, pochylał się ku tym uśmiechom.

Dopomogła do tego ważna okoliczność, która z jednej strony usunęła Antonowicza od współdziałania z Polakami, z drugiej przechyliła go na stronę urzędowych poglądów. Wahając się długo między dwiema religiami, dwiema ojczyznami i dwiema narodowościami, Antonowicz uchylił wreszcie przyłbicy — i stało się widocznem, w jaką stronę wzrok jego skierowany. Wszyscy dostrzegli — on jeden tylko zdawało się, nie wiedział dokąd idzie i gdzie zajdzie. Wiadomo, że uniwersytet kijowski powstał z funduszów polskich, szlacheckich, że większą część zbiorów z Wilna i Krzemieńca

tu przeniesiono, że rząd rosyjski miał go stworzyć wrzekomo dla szlachty polskiej. Wszystkie koła młodzieży zgodziły się na wysłanie deputacyi do Petersburga z memoryałem o potrzebie wprowadzenia do wykładów uniwersyteckich języka i literatury polskiej — a wogóle języka wykładowego polskiego. W przewidywaniu, że deputaci zakończą swoje sprawozdanie w fortecy Petro-Pawłowskiej, postanowiono zarządzić losowanie. Już deputaci byli wybrani, kiedy zjawił się Antonowicz, proponując porozumienie się z Rusinami i swoje pośrednictwo. Już sam fakt, że zaproszonym na wspólne narady nie został, świadczył, że z bożka krytyki zeszedł na człowieka małego zaufania. Przyszedł tedy sam i począł przedstawiać, że deputacya będzie posiadała większe znaczenie, jeżeli popartą będzie przez żywioł „miejscowy". Tem samem zaznaczał, że Polacy takim żywiołem nie są, a równocześnie był to dowód, w jaki sposób ustalały się jego poglądy historyozoficzne i w jakim kierunku. W końcu długiej i bezcelowej dyskusyi pokazało się, że grupka Polaków „miejscowych" uważających się za Rusinów, z Antonowiczem na czele, wówczas dopiero skłonną będzie popierać Polaków, jeżeli deputacya prosić będzie o katedrę literatury polskiej i języka ruskiego. Literatura ruska jeszcze wówczas nie istniała, a raczej była w zarodku. Antonowicz zagroził, że jeśli Polacy wyślą swoją deputacyę, to on postara się o kontrdeputacyę, która prosić będzie, ażeby rząd nie pozwolił Polakom na język wykładowy polski. Nie wiem, jakie granice owej „katedrze języka ruskiego" zakreślano, gdyż jeżeli dzisiaj literatura ta posiada kilku bardzo miernych zdolności przedstawicieli, to wówczas była jeszcze uboższą: okruchy niepewnego pochodzenia, poezya bez ducha i trochę polemicznej religijnej literatury w języku białoruskim. Oto było wszystko. Z katedrą literatury i języka ruskiego można było bez niczyjej szkody wstrzymać się — bo ruskiemu społeczeństwu przedewszystkiem potrzebną była znajomość abecadła. Słuszność, jak się później pokazało, była po stronie młodzieży polskiej. Polaków nie można było urzędami i pensyami przekupić. Rusini z dobrą miną sami szli w pułapkę. Z tego rozdwojenia z ogromną zręcznością skorzystał rząd i użył go jako atutu przeciwko ruchowi polskiemu.

Zgoda Polaków z Rusią była dla rządu rosyjskiego zawsze niebezpieczną; rozłam — zawsze pożyteczny. Dla tego też Antonowicza tak chętnie pochwycono w urzędowe objęcia: droga, na jaką wstąpił, była zbyt widoczną, zbyt dla rządu rosyjskiego dogodną, aby z błędu nowego renegata nie skorzystać.

Dla kolegów — przynajmniej dla znacznej niezaślepionej większości — dla polskiego społeczeństwa wreszcie, przypatrującego się jego robocie z daleka, nie ulegało wątpliwości, w którą stronę pochylił się stanowczo Antonowicz. Szkodliwość jego dla nas była widoczną, a jednak to był tylko początek i nikt jeszcze nie przypuszczał, ile szkody przyniesie on Rusi, do której się przyznał otwarcie, ile pożytku otrzyma z jego działalności urzędowa historya, o ile powstrzyma przez całe pokolenie polityczny,, narodowy i moralny rozwój Rusi.

Jeden z współczesnych Antonowiczowi publicystów polskich, biorący gorący udział w życiu kresowego społeczeństwa, Zenon Fisz, znany pod pseudonimem Padalicy, nie wahał się już w końcu 1861 roku nazwać Antonowicza w *Osnowie* — perekińczykiem (perewerteń). W styczniu 1862 roku w tej samej *Osnowie* Antonowicz otwarcie już przyznał się do odstępstwa. W artykuliku p. t. „Moja spowiedź" wypowiedział kilka myśli, które stały się wytyczną drogą dla dalszej pracy w życiu, a osobliwie w działalności jego historycznej i społecznej. W artykuliku tym okazała się nietylko jego moralność, ale przewrotność charakteru, krętactwo kazuistyczne i gotowe, sformułowane na podstawie polityki urzędowej rosyjskiej, wprowadzonej do nauki dziejów, tezy, dla których później szukał poparcia w materyałach źródłowych i stosownych rozumowaniach [1]).

Antonowicz przyznał się publicznie do odstępstwa — oderwał się jawnie od społeczeństwa polskiego. Trudno było uczynić inaczej wobec zajętego wrogiego stanowiska dla narodu i sprawy polskiej. „Tak, rzeczywiście pisał — jestem odstępcą, ale słowo to, samo przez się, nie ma żadnego znaczenia. Ażeby sobie wszakże wyrobić pojęcie o renegacie, trzeba wiedzieć kogo on zdradził i do kogo przyłączył się — inaczej wyraz ten pozostanie bez znaczenia i będzie pustym dźwiękiem". Począł tedy usprawiedliwiać się dla czego własny naród zdradził. Dowody jego, a raczej rozumowania mogły wystarczyć dla urzędowej Rosyi, wobec której posiadały niejakie prawdopodobieństwo lojalności, ale wobec etyki dla każdego uczciwego człowieka były obrzydliwemi, a żadne pozory szczerości, żadne stawanie na szczudłach niby wysokich myśli i pojęć, nie w stanie były tego niesmaku zatrzeć. Uskarża się on w swojej „spowiedzi", że zbyt długo podzielał „przyzwyczajenia i przesądy społeczne i n a r o d o w e" ludzi szlacheckiej sfery, ale gdy „przyszła chwila samowiedzy, z zimną krwią ocenił s w o j e p o ł o ż e n i e w kraju, zważył jego w a d y, rozważył dążności i przyszedł do przekonania, że położenie tej sfery nie ma wyjścia, jeżeli ona nie zmieni swego w y j ą t k o w e g o poglądu i swoich agresywnie pojmowawanych praw na kraj i jego narodowość".

Powiada on tam:

„Przekonałem się, że Polacy-szlachcice, zamieszkujący Ruś, mają wobec własnego sumienia tylko dwa wyjścia: albo p o k o c h a ć naród śród którego mieszkają, pracować dla jego interesów, p o w r ó c i ć do narodowości, p o r z u c o n e j niegdyś przez swoich przodków, a pracą i miłością, według możności, wynagrodzić wszystko złe, wyrządzone niegdyś temu narodowi, który wykarmił mnogie poko-

[1]) W tym czasie Antonowicz ożenił się z córką prof. uniw. kijowskiego Kistiakowską. Ojciec jej był synem popa. Małżeństwo było bardzo niedobrane i w krótkim czasie rozeszło się. Z dwóch synów Antonowicza jeden został aktorem prowincyonalnym, drugi, jako akademik kijowski, wysłany został na Sybir za agitacye socyalistyczne. W ognisku rodzinnem Antonowicza, zamiast żony, zajęła miejsce, jak powiadają, jedna z jego uczenic, której drogę do naukowej działalności Antonowicz torował gorąco. W szczegóły biograficzne, mdło interesujące i nieraz dramatyczne wdawać się nie będziemy Słuszna jest uwaga jego biografa, że w życiu Antonowicza „były wielkie konflikty i ciężkie walki" (Tomasziwskij, W o ł o d y m i r A n t o n o w i c z 1906, str. 2).

lenia wielmożnych kolonistów, płacących za pot i krew pogardą, łajaniem, nieposzanowaniem jego religii, obyczajów, moralności, osoby — albo jeżeli starczy im siły moralnej po temu, przesiedlić się na polską ziemię, do polskiego ludu, ażeby wobec samego siebie nie narażać się na zarzut, że się było plantatorem, kolonistą, żyjącym cudzą pracą, że się zasłania drogę do rozwoju narodu ruskiego, w którego chatę wlazł nieproszony, z obcemi jemu ideałami, że należy do obozu, dążącego do zdławienia rozwoju narodowego Rusinów".

Śród czułych frazesów nad dolą ludu wiejskiego, na który poza osobistym, innego wpływu polskie społeczeństwo nie miało, Antonowicz oświadcza, że „pokochał ten naród", że postanowił pracować dla niego — z ostrożności nie pisze o charakterze swojej pracy — że pragnął „oświecać ów naród, na podstawie własnych jego zasad narodowych, że żądał, ażeby było południowo-ruskiem (tak) co nie było polskiem, że wreszcie znalazł przeszkody do tego śród społeczeństwa polskiego", lecz ażeby „uspokoić swoje sumienie", nie miał innego wyjścia, jak — zostać odstępcą i zapewniał czytelników *Osnowy*, rząd rosyjski i naród ruski, który z łaski rządu rosyjskiego czytać „Spowiedzi" nie mógł, bo czytać nie umiał, że jest „dumnym" ze swego nowego tytułu, zaręczając że jest to tak dla niego zaszczytne „jak gdyby z papisty (zapewne Polaka rzymsko-katolickiego wyznania) został uczciwym i pracowitym sługą ogólno-narodowej(!) sprawy, z plantatora został abolicyonistą".

W krótkim wyciągu krótkiej „Spowiedzi" Antonowicza widać tylko sprzeczności, sprzeczności, sprzeczności — między pragnieniem a rzeczywistością, między sumieniem jego a frazesem o sumieniu, między prawdą dziejową a zapatrzeniem się w jeden punkt polityki nowożytnej demagogicznego fanatyka publicysty. Wolno było każdemu i niejeden to zrobił, porzucić „przyzwyczajenie i przesądy kastowe", ale z tego nie wynikała bynajmniej potrzeba wyrzeczenia się religii i narodowości. Religia jest rzeczą sumienia, a narodowość — skupieniem pewnych cech etnograficznych i etnologicznych, wyrobieniem pewnych, wspólnych temu skupieniu ideałów na dziś i na przyszłość. Takie cechy i ideały, a nawet zadania i cele ogólniejsze, nie formują się za pomocą artykulików politycznych, lecz wytwarza je życie długowiekowe. Nie przekształcają się też one na zawołanie, lecz tyleż czasu co najmniej potrzebują do zmiany ile potrzebowały do utrwalenia się. Stając się dorobkiem kulturalnym, a zatem własnością narodu, są drogie każdej uczciwej jednostce, która nie uważa za rzecz moralną zmieniać swego dorobku jak sukni — na piękniejsze, mniejsza już z tem, że samo pojęcie piękności jest rzeczą względną. Dlatego zwykle każdy naród potępia taką jednostkę, która lekkomyślnie lub dla źle pojętego interesu wyrzeka się swojej religii i narodowości, jako jednostkę pozbawioną przedewszystkiem moralności.

Błędnie rozumował Antonowicz, że był „oderwany" od ruskiego narodu, że uważał siebie tylko za „kolonistę", gdyż właściwie to co zrobił, da się streścić w krótkich słowach bez bombastycznych frazesów: zmienił tylko religię i poszedł na służbę idei państwowej i to w chwili właśnie kiedy ona stała się zwycięską i kiedy na gwałt potrzebowała ludzi do walki z polskością. Powiedziano mu słusznie, że jego historya jest „kazionną". Rosya, postawiwszy tezę jedności i jednolitości urzędowej z Rusią, mogła uważać ludność polską, zamieszkującą Ukrainę, za „kolonistów" lub za „oderwanych" od pnia wszechrosyjskiego, ale od polityki do prawdy droga daleka.

Nestor — zadający kłam wszystkim teoryom politycznym o „kolonistach" a dlatego tak bardzo lekceważony przez Antonowicza i Hruszewskiego — późniejszą Ukrainę nazywał „ziemią polską". Kolonizacyę, rozpoczętą od XVI. w. po spustoszeniach tatarskich i innych można i należy nazwać raczej powrotem do starych siedzib. Ludzi i plemiona rozdzieliła religia, ale nie ziemia. Antonowicz radził szlachcie polskiej powrócić do narodowości ruskiej porzuconej, ale nie miał odwagi radzić Czerkaskim, Chitrowym, Oboleńskim i tysiącom innych „powrócić" do praojców swoich, Tatarów, Paskom, Chrapowickim, Żukowskim i w. in. do Polaków, poecie Puszkinowi — do murzynów.

Jeżeli chodzi o składniki etnograficzne późniejszej Rusi wogóle, to ludność miejscowa najmniej ma prawa nazywać się ruską, a tembardziej jednolitą, gdy zmieszała się z Połowcami, Pieczyngami, Waregami a później Tatarami i to z tak wielką domieszką różnych niesłowiańskich składników, że dziś jeszcze między ludnością ukraińską wybitnie rozpowszechnionym jest typ tatarski. Do kogoż Antonowicz „powrócił" i kogo uważał za autochtonów? Co do nazwy „kolonistów", przyczepionej do szlachty ukraińskiej, jest ona nawskróś pojęciem politycznem rosyjskiem. Ruś cała, do połowy XVII. w. należała do Rzptej, w której ruch ludności odbywał się w rozmaitych kierunkach. Gdzie zatem ziemia była niczyja, pusta, której miejscowa ludność, bardzo nieliczna, jeżeli i była — nie używała, tam każdy, kto sie na niej osiedlał, stawał się nie kolonistą przypadkowym, lecz obywatelem państwa. To nie Parana brazylijska, Stany Zjednoczone lub Kanada. Nie odbierano ziemi nikomu, bo nie miała posiadaczy, ani Burjatom, ani Samojedom, ani Tatarom i ich współplemieńcom, zasiedlano ją we własnem państwie, bez krzywdy niczyjej, przeciwnie z tym niezaprzeczonym pożytkiem, że opieką, wolnościami i obroną zachęcano na poły osiadłą tubylczą ludność do spokojnej kulturalnej pracy. Dla tej ludności budowano cerkwie — proszę tylko sprawdzić nadania! — sprowadzano popów, słowem, nie „poniewierano" religii, lecz ją szanowano. Temu wszystkiemu chyba żółcią napojony człowiek zaprzeczyć może. Wprawdzie Sapiehowie, Ostrogscy, Wiśniowieccy, porzucili religię grecką, alež oni nie uważali się za nic innego jak tylko za Polaków wschodniego obrządku, których do dziś dnia nie brak. Prawosławie nie przeszkadzało im być najwyższymi dostojnikami w Rzptej i całość interesów polskich mieć na pieczy, nawet wtedy gdy wypadało wydawać uchwały przeciwko „swawoleństwu" kozackiemu. Nic nie powiedział Antonowicz o tem, że ażeby być Polakiem, niekoniecznie potrzeba być rzymsko-katolikiem, że religia chrześcijańska szła do

Polski dwiema drogami: z Grecyi i z Rzymu, przez Kijów, jakoteż Pragę i Kraków, że zatem Polanie od Dniepru przyjęli grecki obrządek, a od Wisły — rzymski, że w jednym i drugim obrządku są odcienia, które nazywają herezyami, ale przecie ani Mołokanów, ani Skopców, ani Starowierców nie nazywa nikt Rusinami, tak samo jak nie nazywano Aryanów i Protestantów Niemcami. Firleje i Weiherowie Weissenhoffowie i Korfowie byli nawskroś Polakami, chociaż protestanci. Powiedziałem już, że narodowość — to etnografia, a religia — to sumienie człowieka. Można te pojęcia zmieszać, ale nie złączyć.

Żądając przeto wysiedlenia się „wielmożnych kolonistów“ z Rusi, zaszedł w swojej ambitnej zaciekłości tak daleko, jak nie śmiał pójść nawet rząd rosyjski, który usiłował nie „wysiedlić“ Polaków, lecz tylko „osłabić polskość“ najbardziej wyjątkowemi prawami. Mimo przepowiedni Antonowicza, mimo gorących pragnień rządu rosyjskiego — polskość wzmacniała się, bo miała siły żywotne w sobie i te ideały, których Antonowicz z lekkiem sercem wyparł się. Wielki protoplasta hajdamaczyzny historycznej niewątpliwie pod koniec swego życia przekonał się o tem, jak się zawiódł srodze na swojem „oderwaniu się“. Polski nie zniszczył, a Rusi nietylko nie zbudował, lecz ją osłabił i zdeprawował swymi poglądami. Pod koniec swego życia pisał: „Wszystkie moje omyłki widzę teraz jaśniej i dokładniej“ — ale trudno już było poprawić je — chociaż próbował.

Nigdy może więcej jak w owej „Spowiedzi“ Antonowicza nie okazała się przewrotność jego umysłu, zawzięta uporczywość jego charakteru i fałszywe przekonania społeczno-narodowe, odnośnie do Polski, powzięte a priori, dla których przez większą część życia szukał dowodów, zaledwie a w drugiej połowie zaprzestał tej roboty Danaid — — nie przyznając się jednak do tego. Brakło mu szlachetności i siły do cofnięcia się. W okresie „Spowiedzi“ był on już, w całem tego słowa znaczeniu, radykałem hajdamackim, bezwzględnym, ślepym, fanatykiem rosyjskiej idei historycznej: że ludowi ruskiemu stała się przez szlachtę polską jakaś wielka krzywda i stąd wypływała nienawiść tego ludu do Polski historycznej i dzisiejszej. Było to rozmyślną nieprawdą, sztucznie pielęgnowaną dla celów politycznych. Nienawiści rasowej nigdzie i teraz jeszcze niema, jest jedynie zawiść i niechęć, mająca źródło swoje w różnicach ekonomicznych i politycznych warunków. Takie uczucie tylko wysoka kultura umysłowa złagodzić będzie mogła.

Wspominałem już niejednokrotnie, że idea ta w Rosyi miała doniosłe znaczenie polityczne i była pielęgnowana przez urzędową naukę i szkołę. Antonowicz nie chciał tego widzieć i z całą furyą fanatyka, zapatrzonego w jeden punkt, pędził na oślep w te same ramiona, które już zgniotły Wyhowskich, Brzuchowieckiego, Samojłowiczów, Mazepę, Połubotka, Kalniszewskiego — i tylu, tylu innych, w imię idei jedności i jednolitości Rusi z urzędową Rosyą. Antonowicz zdawał się tego nie widzieć, nie dotykał tych przedmiotów przez cały ciąg pracy swojej na polu historyi Rusi. Bałamuciła go natomiast ciągle myśl o krzywdzie doznanej przez Ruś od Rzptej polskiej niegdyś, jak dziś bałamuci jego uczniów frazes o krzywdzie doznawanej od szlachty polskiej. Nic też dziwnego, że porównywał wszystkich właścicieli ziemi na Rusi pod panowaniem Rosyi — włościanie jeszcze właścicielami nie byli — do plantatorów amerykańskich, a siebie do abolicyonisty. Porównanie także jaskrawe, także w owe czasy modne i chętnie stosowane do szlachty polskiej na Rusi.

Tensam Antonowicz ani słówkiem nie wspomniał wszakże o „plantatorach“ za Dnieprem i o tych, którzy stosunek „plantatora“ do „chłopa“ utrwalili [1]). Rzucał jaskrawe porównanie tłumom, pewnym będąc, że ono wystarczy. Istotnie nikt w owym czasie nie analizował różnicy, jaka zachodziła między „abolicyonistą“ a Antonowiczem. Abolicyonista propagował piękne idee bezinteresownie, walczył w imię praw ludzkich, ale dla tej walki nie zmieniał ani religii, ani narodowości nie wyrzekał się, nie odrywał się od pnia prawiekowego i nie przyłączał się do innego państwa, wrogiego porzuconej religii i narodowości. Antonowicz to wszystko uczynił z lekkiem sercem, więcej nawet, bo uważał to wszystko za „zaszczyt“. Na tym „zaszczycie“ nie poprzestał, bo stając się „z papisty uczciwym człowiekiem“, opluł religię praojców własnych, własną nieżyjącą już matkę i przyznał „uczciwość“ tylko ludziom „prawosławnym“.

„Spowiedź“ owa w *Osnowie* — nic dziwnego — otworzyła mu drogę do pracy w tym duchu. Wkrótce też porzucił pedagogię szkolną, a przeszedł do pedagogii historycznej, tem chętniej, że już przedtem pracę rozpoczął z dobrym skutkiem i dobrą nadzieją.

Ażeby nie pominąć ani jednego punktu społeczno-politycznej działalności Antonowicza, wspomnieć jeszcze należy o próbie, podjętej przez niego, przeprowadzenia polsko-ruskiej ugody na terenie Galicyi, którą uważał za Piemont ruski. Była to nie tylko próba ekspiacyi, ale akt wielkiego politycznego znaczenia, akt rozwagi i dojrzałości, wypływający ze spokojnego rozważenia tych warunków, w jakich znalazł się naród ruski i ocenienia tych warunków jako czynników na przyszłość. Widział jasno, że Ruś nie ma, jako naród odrębny, przyszłości z Rosyą, nawrócił więc na drogę historyczną i szukał zgody z tą Polską, którą całe życie oskarżał i znieważał. Pod względem politycznym możnaby go porównać do Jana Wyhowskiego — miał jego umysłowość, jego charakter i jego idee polityczne i jego przewrotność. Jak tamten przekonał się za późno, że działał w imieniu narodu i dla narodu, który nie rozumiał zupełnie życia politycznego, a przewódcami jego kierowała nie miłość narodu — o czem pojęcia nie mieli — lecz egoizm władzy, ze wszystkiemi jej atrybucyami, posunięty do granic swawoli i samowoli. Plącząc się w tych sieciach, upadł.

Jaka była rola Antonowicza w tej ugodzie — nie wiemy; pozostała ona tajemnicą

[1]) Dopiero w roku 1783 ustalono na Rusi (nie wszędzie) system poddańczy, przypisano włościan do ziemi zabraniając opuszczania siedlisk i określając ilość tygodniowej robocizny „na pana“.

jego i tych, którzy łudząc się widmem zgody z Rusią galicyjską zapomnieli o elementarnej podstawie wszelkich porozumień: o równości kulturalnej i moralnej wodzów i przedstawicieli z obu stron. Jeśli Antonowicz potrafił nakreślić rozumne warunki ugodzie polsko-ruskiej, to wodzowie i przedstawiciele ukraińskiego społeczeństwa dziś jeszcze nie umieją znaleźć granicy między realną podstawą do zgody, a socyalno-politycznemi mrzonkami. Trzeba, ażeby ktoś dawał i przyjmował na siebie gwarancye ugody — charakterem, rozumem, umiarkowaniem. Takich ludzi Ruś nie miała i nie ma dotychczas.

(D. c. n.) *Fr. Rawita Gawroński.*

Jesienna sesya sejmowa r. 1910.

(Wydawnictwo Stronnictwa Prawicy Narodowej w Krakowie: Dr. Wł. L. Jaworski, Prof. Uniw. Jag., Poseł na Sejm, *Listy z Sejmu r. 1910*, Kraków 1911, str. VIII i 253).

Książka ta zawiera przedewszystkiem 46 niedługich „Listów z Sejmu“, które ukazując się w *Czasie* z dnia na dzień za jesiennej sesyi sejmowej r. ub., między 20. września a 20. listopada, już wtedy spokojem swym i rzeczowością bardzo korzystnie odbijały od poprzednich, napastliwych, listów sejmowych *Czasu* z jesieni r. 1909 i z początku r. 1910, tak że powszechnie wiedziano, że pisze je ktoś inny i domyślano się, że pos. Jaworski. Następuje obszerniejszy artykuł p. t. „Stronnictwa Sejmu r. 1910“, który ukazał się, jak zwykle po sesyach sejmowych, w *Przeglądzie Polskim* w grudniu r. ub., a pisany był także, jak wyjaśnia książka, przez pos. Jaworskiego. W dodatkach znajdują się: mowy pp. Marszałka, Namiestnika, pos. Jaworskiego (reforma wyborcza), pos. Goetza Okocimskiego (propinacya), pos. Górskiego (rolnictwo i małe miasta), pos. Hupki (reforma agrarna), referat pos. Jaworskiego o rozszerzeniu autonomii (por. *Rplta* nr. 39 z 14 października 1910, str. 194—6), referat p. Halbana o szkołach realnych, projekt pos. Jaworskiego w sprawie reformy gminnej.

Jaka jest myśl przewodnia, jaka dążność tej książki?

Jest rzeczą widoczną, że poseł Jaworski chce na przykładzie ostatniej sesyi sejmowej pokazać, co to jest polityka, jak ją należy pojmować, jak robić. Znajduje się w tej książce przygodna wzmianka, że „Szujski, Kalinka, Koźmian, Tarnowski patrzyli z wysoka i w dal“ (str. 56). Pos. Jaworski zaś, mówiąc o „działaniu o charakterze tak praktycznym jak polityka“ (str. 57), z całym naciskiem, na każdym kroku, zwraca szczególną uwagę na to, że „człowiek bez ideałów przestaje być człowiekiem, a jednak polityka jest najrealniejszem ze wszystkich działań ludzkich“ (str. 37), a zarazem przestrzega, że polityka musi „liczyć się tylko z aktualnym stanem“, bo inaczej „przeradza się w marzycielstwo lub we wichrzenie“ (str. 28).

Pogląd ten wypowiedziany jest tutaj znacznie oględniej niż w *Przeglądzie Polskim* z marca 1910, po przedostatniej sesyi sejmowej, na której tworzyła się nowa większość konserwatystów krakowskich, ludowców i demokratów starych, bo tam była mowa o „górnym celu i tej niejednokrotnie brudnej drodze, którą, dążąc do niego, przebyć trzeba“, a samo określenie polityki brzmiało: „Ale politykiem jest tylko ten, kto, stojąc przy swych zasadach, umie wyszukać środki, potrafi ludzi zjednać i skupić, aby dojść do pozytywnego rezultatu, aby zdobyć sukces, bo kto tego nie pojmuje, może być moralistą, kaznodzieją, apostołem, ale politykiem nie jest“.

Spór oderwany i słowny o miarę realizmu i idealizmu w polityce byłby tu zbyteczny. Widzi się, że u nas jest dużo najlepszych zamiarów i zasad politycznych, nie wcielających się w dzieła polityczne i nawołuje się do realizmu w polityce. Widzi się jednak zarazem, że jakoś najłatwiej jeszcze uczą się u nas ludzie w polityce realizmu i praktyczności w najgorszem znaczeniu tych słów i dlatego stoi się na straży idealizmu w polityce. Powiedzmy zatem, że polityka jest rzeczywiście działaniem nawskroś realnem, a jednak, jeżeli nie będzie ona idealna nie tylko co do wytkniętego celu ale także co de wyboru środków i co do doboru ludzi, to trwałej pociechy z niej nie będzie.

Bez sporu przyjąć jednak można zdrowe ziarno poglądu pos. Jaworskiego na istotę polityki, tę przestrogę, która u nas rzeczywiście jest zawsze na czasie: polityka musi, poprzez wszelkie trudności, wyrażać się w czynach politycznych, bo tam gdzie ich niema, są tylko pozory polityki.

Tym czynem politycznym, którego dojrzewanie i spełnianie się przedstawia pos. Jaworski na tle naszych stronnictw, sprawy ruskiej, warunków pracy w Sejmie, jest kompromis w sprawie reformy wyborczej.

Otóż w przedstawieniu sprawy z tego stanowiska przez pos. Jaworskiego jest mnóstwo uwag bardzo bystrych i bardzo słusznych, ale są także poglądy, na które główny nacisk położymy, bo się nam wydają niejasne i nasuwają wątpliwość, czy też to jest właśnie realny sposób patrzenia na zjawiska polityczne.

W obrazie stronnictw, który daje książka jest pewne stopniowanie świateł do cieni. W pewnym blasku stoi „odłam krakowski stronnictwa konserwatywnego, który zdawał sobie odrazu sprawę jasno ze sytuacyi“ (str. 134), a ponieważ „w szczególności zdecydowanemu wystąpieniu na konferencyi prezydyów hr. Antoniego Wodzickiego zawdzięczać w wysokiej mierze należy, że kompromis przyszedł do skutku“ (str. 135), ta oto osoba chorążego krakowskiej grupy znalazła się w samem ognisku, z którego bije światłość naszej polityki narodowej, tak właśnie jak w obrazie Matejki postać Witolda. W świetle stoi też nieco dalej, „demokracya t. z. bezprzymiotnikowa, która składa się z ludzi pozytywnej pracy i realnej polityki“ (str. 136) i która „przejętą jest duchem pozytywnym“ (str. 139). Życzliwie są także oświetleni „ludowcy, którym było stosunkowo najłatwiej utrzymać się w jednym szeregu z innemi stronnictwami, bo w kompromisie zyskali“ (str. 140). Cień pada na „demokracyę narodową, która wobec dwoistości programu, przystosowanego do jednania

sobie wyborców tak miejskich jak wiejskich, nie jest w stanie zdać sobie sprawy, co jest właściwie jej sukcesem, zwycięstwo bowiem zyskane dla miast, może być ujmą dla wsi" (str. 140). A w zupełnej już ciemności pogrążona jest „grupa podolska, która zajmowała stanowisko krytyczne, tak że kompromis w sprawie reformy wyborczej może nie byłby przyszedł do skutku, gdyby nie więcej stanowcze postawienie kwestyi przez grupę krakowską" (str. 141), bo grupa wschodnia, zdaje się, nie rozumie, że „tylko to stronnictwo może się utrzymać przy życiu, które jest żywotne, które jest twórcze, które każdy problemat życia publicznego pozytywnie potrafi rozwiązać, które żadnej kwestyi nie odkłada na później i wobec żadnej bezradnie nie załamuje rąk" (str. 142).

A jednak, jeżeli realna polityka ma opierać swój pogląd na faktach i na prawdziwej rzeczywistości, a nie na naciąganem rozumowaniu, stanowisko stronnictw w tej właśnie ostatniej sesyi i w tej sprawie reformy wyborczej przedstawia się jej zupełnie inaczej. Nie tylko grupa ziemiaństwa wschodnio-galicyjskiego, ale także demokracya narodowa, mimo wszystkich swych błędów poprzednich, okazała się i pewniejszą narodowo i skłonniejszą do pozytywnego załatwienia sprawy niż ludowcy i stara demokracya, bo te właśnie obozy najuporczywiej trwały przy pustem haśle czteroprzymiotnikowego głosowania i najdalej poszły w agitacyjnej i demonstracyjnej robocie unieruchomiania prac Sejmu w komisyach i na plenum. A oto fakty: Zaraz na początku sesyi sejmowej, d. 26 września, stronnictwo demokratyczno-narodowe uchwaliło na wiecu w Gwieździe lwowskiej rezolucyę czteroprzymiotnikową, o której „List z Sejmu" pisał, że to jest „wskazówką gdzie należy szukać przyczyny przewłoki w załatwieniu reformy wyborczej", że „fakt ten jest tak charakterystyczny, iż należy go z naciskiem podkreślić i w ciągu dalszych debat przypominać", że ta uchwała „chce przekreślić wszystko, co się dotychczas w tej sprawie zrobiło, unicestwić całe dotychczasowe zbliżenie się stronnictw" (str. 18). Ale gdy w miesiąc później, demokraci narodowi porzucili puste hasło i uchwalili d. 21 października w Skale lwowskiej rezolucyę kompromisową, a równocześnie demokraci krakowscy uchwalili na Ratuszu krakowskim dnia 20 października rezolucyę czteroprzymiotnikową (por. *Rplta* nr. 40 z d. 29 października 1910 str. 210), to chociaż to się działo tuż w przededniu kompromisu, żaden „List z Sejmu" nie pisał wtedy o przewłoce, o fakcie charakterystycznym, o unicestwieniu. A dalej, wszakże, gdy demokracya narodowa porzuciła myśl dekompletowania komisyi i niedopuszczenia budżetu i oświadczyła to przez usta posła Głąbińskiego, a demokracya stara wraz z ludowcami trwała w tem stanowisku i zaznaczyła to już po oświadczeniu pos. Głąbińskiego w mowie pos. Rutowskiego, „List z Sejmu" z d. 30 października musiał ostrzegać: „Dla demokracyi bezprzymiotnikowej i dla ludowców powinno być poważnem memento zachowanie się demokracyi narodowej" (str. 89). O tem wszystkiem trzeba było zapomnieć, gdy chodziło o obleczenie starej demokracyi w piękne szaty, „ducha pozytywnego". A wreszcie, gdyby naporowi czteroprzymiotnikowemu ziemiaństwo wschodnie nie przeciwstawiło obrony interesu narodowego, którą się pogardliwie nazywa „formułkami, że Sejm w jednej Izbie obejmuje dwie" (str. 46), dokąd bylibyśmy zaszli w tej reformie wyborczej?

Realny, trzeźwy, prawdziwy pogląd wskaże całkiem inny podział stronnictw: stara demokracya i ludowcy przedstawiali w sprawie reformy wyborczej sejmowej, tak samo jak ongi w sprawie reformy parlamentarnej i jak zawsze, puste, bezmyślne, złe hasła, demokracya narodowa przynajmniej w ostatniej chwili się trochę opamiętała i jak zwykle na nią więcej niż na tamte grupy można było liczyć, a ziemianie wschodnio-galicyjscy byli głównymi obrońcami interesu narodowego przed demagogią. Światła i cienie obrazu, który daje książka, są odbiciem chwilowych kombinacyi i interesów stronniczych, ale wcale nie odpowiadają realnej wartości naszych grup politycznych w tej sprawie i w innych.

O sprawie ruskiej wypowiada pos. Jaworski dużo uwag bardzo trzeźwych i głębokich. Oceniając n. p. ruski ruch narodowy, tak odmienny od innych, mówi: „W całej walce posko-ruskiej dominująca jest kwestya socyalna, pozorem zaś tylko jest kwesta narodowa; ani pod względem języka, ani pod względem żadnej potrzeby kulturalnej Rusini nie są pokrzywdzeni, natomiast inteligencya ruska dąży do objęcia w swoje wyłączne ręce rządu, a więc wszystkich posad, włościaństwu zaś przyrzeka podział gruntu większej własności znajdującej się w polskiem posiadaniu" (str. 149 i por. str. 126). A jednak, rzecz dziwna, gdy pos. Jaworski przystępuje do określenia polityki stronnictw ruskich, za podstawę bierze nie to co one robią, ale ich pisane programy (str. 143—8). Na tej drodze dochodzi się do wniosku, że starorusini taksamo jak ukraińcy dążą do podziału kraju, że są również radykalni społecznie, że niema różnic zasadniczych między grupą p. Dudykiewicza a p. Korola. Wszyscy wiedzą, że w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. Oparcie się na tem co się pisze a nie na tem co się robi pomaga znakomicie w upozorowaniu poglądu, że starorusini są równie radykalni jak ukraińcy, poglądu potrzebnego dla dzisiejszych rządów w kraju, ale gdzież tu jest realizm polityczny?

Do sprawy organizacyi pracy w Sejmie należy kilkakrotnie wypowiedziany z naciskiem pogląd, że w sprawach ruskich powinni obmyślać programy przedewszystkiem posłowie ze wschodniej części kraju, podnoszony szczególnie z powodu sprawy zabezpieczenia mniejszości narodowych: „Obowiązek dokonania tej pracy i cała odpowiedzialność za przyszłość spada na posłów polskich ze wschodniej części kraju, należy też wyrazić przekonanie, że na najbliższej sesyi przedstawią jednolitą i we wszystkich szczegółach wypracowaną opinię w tej kwestyi" (str. 158 i por. 129, 141 i t. d.). To jest dopiero żądanie polityczne, bardzo słuszne, ale realizm polityczny wymaga, aby zamieniło się ono w czyn polityczny. Gdzie, py-

tamy, posłowie polscy ze wschodniej części kraju, należący do różnych stronnictw, mają wypracować ten jednolity program, w sprawie w której spada na nich cała odpowiedzialność na przyszłość? W kawiarni? Na polowaniu lub zebraniu sąsiedzkiem? Wiadomo, że od 2 lat poruszono już tę myśl, że posłowie polscy ze wschodniej części kraju powinni przygotowywać dla Sejmu sprawy ruskie, a ponieważ tego nie można robić w kawiarni ani w powietrzu, pomyślano o powołaniu do życia Klubu posłów polskich z Rusi Czerwonej (por. *Rplta* 1909 nr. 2 z 23 stycznia i nr. 15 z 18 września). To było dążenie, by od żądania politycznego przejść do czynu politycznego, to był realizm polityczny. Otóż przeciw temu dążeniu występował za każdym razem z wielkim rozmachem *Czas* (z d. 1 lutego i 23 września 1909, por. *Rplta* nr. 16). Obecnie powiedzieć należy: albo pos. Jaworski jest za tem, by posłowie ze wschodniej części kraju dla swych bardzo poważnych zadań stworzyli sobie niezbędną organizacyę, albo też rzucałby czcze hasła i brakby mu było realizmu politycznego, czego przypuszczać nie można.

Naogół zaś, książka pos. Jaworskiego, spokojna i ścisła, mówi o działaniu politycznem w sposób bardzo pouczający i pobudzający do głębszej rozwagi.

Wiadomości polityczne.

Ziemstwa na Litwie i Rusi.

Rządowy projekt ziemstw na Litwie i Rusi, znany od jesieni r. 1909, został, jak wiadomo, odrzucony przez komisyę Dumy w kwietniu 1910, ale następnie przez plenum Dumy przyjęty z pewnemi zmianami w lecie 1910 (por. w *Rpltej* artykuł p. Bolesława Batora „Ziemstwa na Litwie i Rusi“ r. 1909 nry 21 i 22, str. 262—4 i 275—8, oraz notatki r. 1909 str. 235, r. 1910 str. 79, 96, 129). Obecnie projekt ten wszedł pod obrady Rady Państwa, rosyjskiej izby wyższej, której komisya nie uwzględniła, na ogół biorąc, poprawek Dumy i przywróciła brzmienie rządowe prawie we wszystkich głównych punktach.

Projekt ten obejmuje, jak wiadomo, tylko Małoruś (gub. podolską, wołyńską, kijowską) i Białoruś (gub. witebską, mińską, mohylowską), bo dla właściwej Litwy (gub. wileńska, grodzieńska, kowieńska), gdzie żywioł polski jest silniejszy, trzeba będzie wypracować ograniczenia jeszcze większe. Jedyną zasadą projektu jest to, że ziemstwa mają być rosyjskie. Celem ograniczenia udziału Polaków urządzono kurye narodowe, przyznając Polakom nie tyle miejsc ile by wskazywała ilość ziemi posiadanej przez nich ale z uwzględnieniem także liczby ludności, tak że Polacy, którzy na podstawie samej zasady majątkowej, mieliby $^1/_3$ lub $^1/_4$ miejsc, będą mieli $^1/_5$—$^1/_{10}$ miejsc, nadto zaś chociaż tak mało będzie Polaków i nigdzie oni w radach ziemskich nie będą mieli znaczenia poważnego co do ilości głosów, na wszelki wypadek prawnie zastrzeżono, że prezesi zarządów ziemskich i połowa ich członków, oraz prezesi rad szkolnych ziemskich muszą być Rosyanami (a projekt rządowy zastrzegał to także dla płatnych urzędników ziemskich i nauczycieli, co jednak odrzucono). Kłopotów jest dużo z kuryą rosyjską. Okazało się, że gdy się zachowa cenzus majątkowy rządowy, wtedy w 38 powiatach (na 67) będzie brało udział w głosowaniu mniej wyborców niż ma być radnych rosyjskich przez nich wybranych, a jeżeli się cenzus obniży do połowy, jak radzi referent komisyi, to większość będą mieli w 46 powiatach drobni wyborcy, przeważnie analfabeci. Ale rząd pociesza się, że jakoś to będzie.

Rozprawa ogólna nad projektem zajęła w Radzie Państwa trzy posiedzenia w dniach 10., 14. i 17. lutego.

Referent i duchowy ojciec projektu, p. Pichno mówił podniośle, historycznie, o dolach i niedolach tych ziem czysto rosyjskich: od niewoli tatarskiej aż do ostatniego powstania polskiego, celem urobienia nastroju. Drugi referent, p. Stiszinskij, mówił o szczegółach projektu. Obydwaj odpowiadali mowcom i zbierali od nich cięgi za dziwną logikę.

Z ramienia rządu mówił prezes Rady ministrów p. Stołypin, który d. 10. lutego złożył krótkie oświadczenie za nienaruszalnością systemu kuryi narodowych, a d. 14. lutego wygłosił wielką mowę. Była ona bardzo podobna do gromkiej mowy dumskiej z d. 18. maja 1910. Tak samo jak tam były i tutaj ograniczenia Polaków uzasadniane... wyrazami uznania dla ich tężyzny kulturalnej: „Ich ze wszystkich stron zniewalają do bronienia swych interesów narodowych... Należą oni do narodu, skutego bólem narodowym, zespolonego nieszczęściami dziejowemi i dawnemi marzeniami ambitnemi. Należą do narodu, który ma tylko jedną myśl: ojczyznę. Te to właśnie — nazwę je wzniosłemi — pobudki silnie zahartowały ludność polską pod względem politycznym. I tej to zahartowanej grupie chcecie przeciwstawić masę, złożoną z niedawnych ziemian w kraju i z drobnych właścicieli ze sfery włościańskiej? I ową masę, nieznającą obłudy, nie umiejącą jeszcze pływać, rzucić chcecie na morze walki politycznej?“ Co do ludności rosyjskiej sam p. Stołypin nie tylko przewiduje, że „w niektórych powiatach stać się może, że wyborcy sami się ogłoszą za radnych“ (tak mało ich będzie), ale także, chociaż oględnie, jednak przyznaje, że gdy się cenzus zmniejszy „obniży się nieco liczba osób, które ukończyły wyższe i średnie zakłady naukowe, w najmniejszej zaś liczbie przechodzą nie umiejący czytać i pisać“, czyli jasno mówiąc przeważają analfabeci albo tacy którzy ledwie liznęli szkół ludowych, a co do prawyborców rosyjskich stwierdza i p. Stołypin, że „stanowią oni środowisko dość niekulturalne, bo tylko w guberni wołyńskiej liczba nieumiejących czytać i pisać stanowi około 50%, w innych przewyższa 50%, a w mohylowskiej dosięga 70%“. Tak wyglądają tam „ziemcy“ rosyjscy, a nawet jeżeli się cenzus tych prawyborców podniesie z $^1/_{20}$ cenzusu ziemców na $^1/_{10}$, nie będzie zasadniczej różnicy żadnej. W zakończeniu mówił p. Stołypin, lękając się, że Rada Państwa cofnie się przed tym potwornym projektem: „Oby z bojaźni postępowania własną drogą rosyjską nie został wstrzymany rozwój pięknego tego i bogatego kraju... Jeżeli się tego dzieła nie poprowadzi, do męczeńskich

dziejów Zachodu rosyjskiego wpisana zostanie nowa karta“...

Z pośród Rosyan za projektem oświadczyli się, jako mowcy, tylko witebski Rosyanin p. Ofrosimow i pop Tregubow. Przeciw zaś mówili: hr. Witte, ks. Obolenskij, Maxym Kowalewskij, Trepow, Zinowjew. Szczególnie ostro zwalczał projekt d. 10. lutego hr. Witte, twierdząc, że należało się oprzeć nie na rosyjskiem ziemiaństwie, ale na rosyjskiem włościaństwie tych krajów, które samą liczbą zalałoby Polaków, gdyby było w należytej liczbie dopuszczone do ziemstw: „Dla oddania gospodarki ziemskiej w ręce nielicznych i po większej części przypadkowych obywateli ziemskich Rosyan, projekt ucieka się do takiego antypaństwowego środka, który rzeczywiście nie przyszedł do głowy żadnemu z działaczów państwowych nie tylko od czasu uwłaszczenia włościaństwa, ale i przez cały czas istnienia Rosyi jako państwa, a mianowicie: do przyznania się przed światem całym w drodze prawodawczej, że w odwiecznych guberniach rosyjskich (gubernia kijowska św. Włodzimierza i św. Olgi) rosyjskiego państwa mogą istnieć kurye polityczne nierosyjskie, które mogą mieć swe interesy, niezgodne z interesami państwowości rosyjskiej. Według mojego zdania, taka antyrosyjska i antypaństwowa myśl mogła się zrodzić tylko po tragicznem błądzeniu w mgle, wytworzonej przez naszą t. zw. rewolucyę“.

Hr. Jan Olizar, mówiąc imieniem Polaków d. 10. lutego, chociaż to było przed mową p. Stołypina, jednak dobrze ujął stałe jego rozumowanie: „Zwykle rząd nas gani, a niekiedy nawet chwali, ale z pochwał tych cieszyć się nie możemy, gdyż za każdą taką pochwałą następuje zaraz projekt jakiegoś środka kierowanego przeciw Polakom; gdy się n. p. wskazuje że Polacy są żywiołem kulturalnym, to dodaje się zaraz, iż należy ich usunąć od ziemskiej pracy kulturalnej“. W bardzo dobrej i rzeczowej mowie że ziemstwa te podają się za ziemstwa z wyborów, ale „wyborcy wybierają tylko wedle oddziałów, a do zarządu nie mają prawa pewnych osób (Polaków) wybierać na prezesów i na członków“, oraz podają się na ziemstwa oparte na cenzusie majątkowym, ale „nie stosuje się tej reguły do Polaków, gdyż tu wprowadza się zasadę liczby ludności, ani do włościan, gdyż dostają tylko trzecią część, ani do rosyjskich właścicieli, gdyż ci otrzymują więcej aniżeli im się majątkowo należy“. Obraz tych ziemstw określa p. Olizar tak: „Z jednej strony mieć będziemy włościan, niezadowolonych i zupełnie nieprzygotowanych do pracy w ziemstwach, podejrzewających wszystkich razem i każdego z osobna, z drugiej zaś strony żywioły kulturalne (rosyjskie i polskie), które zamiast wspólnie pracować i włościan do pracy zaprawiać, będą tylko walczyć ze sobą i siły wszystkie zużywać na sprzeczki“. D. 18. lutego wygłosił hr. Olizar drugą mowę, w której odpowiadał referentom i prezesowi ministrów.

D. 14. lutego przemawiał p. Woynicz-Sianożęcki i p. Meysztowicz. Mówił p. Meysztowicz: „Gdy Polacy w Królestwie Polskiem żywiołowo dążą do zdobycia pewnych praw narodowych, ideałem Polaków kraju zachodniego (t. j. Litwy i Rusi) jest jedno tylko: równouprawnienie... Pozwólcie panowie, że będę zupełnie szczery i powiem, że gdyby szło o państwowość, Polacy dawnoby się już porozumieli z Rosyanami, gdy jednak idzie nie o państwowość, lecz o rusyfikacyę, to takiej ofiary Polacy złożyć nie mogą: narodowości swej, to pewna, nigdy się nie zaprą“. Przypomniał, że w r. 1902 p. Stołypin jako kowieński marszałek szlachty powiedział o Polakach na Litwie: „Żywioł najbardziej zachowawczy w państwie, podpora porządku i ładu społecznego“. W dzienniku Komitetu Ministrów z 22. i 23. sierpnia 1905 powiedziano: „Jako ziemianie, obywatele polscy należą do rzędu najkonserwatywniejszych i gotowych bronić ładu społecznego; wielu z nich w chwili obecnej przelewa krew na równi z Rosyanami; a społeczeństwo miejscowe na równi z rosyjskiem troszczy się o niesienie pomocy rannym“. A w r. 1906 szesnastu członków dawnej Rady Państwa pytało: „Czy nie grozi niebezpieczeństwem wychowanie całych pokoleń poza zwykłym porządkiem prawnym?“ Co więcej, p. Meysztowicz przypomniał jeszcze co innego: „Hr. Murawjew, wyjeżdżając po r. 1863 z Wilna, rzekł do hr. Keyserlinga: J'ai fait l'opération, mais saura-t-on guérir les plaies... Sąd o hr. Murawjewie wypowie historya. Mówią, że operacye czynił on z rozkoszą, że jego wspomnieniem straszy się dzieci. Zaznaczyć jednak winienem, że hr. Murawjew zaprowadził u nas serwituty, ale też on sam chciał je następnie skasować; hr. Murawjew zawiesił u nas wybory szlacheckie, lecz na marszałków wybierał ludzi miejscowych, czasami Polaków; nie chciał też wprowadzać u nas ziemstwa z ograniczeniami“. Temi przypomnieniami p. Meysztowicz dobrze wykazał, że w r. 1902, 1905, 1906 duch w rządzie był mniej zaciekły niż teraz, że nawet po r. 1863 nie posuwano się tak daleko jak teraz i dał w ten sposób miarę obecnej, konstytucyjnej reakcyi.

W głosowaniu d. 17. lutego rząd zwyciężył głosami swych niemych zwolenników: uchwalono przejść do rozprawy szczegółowej 103 głosami przeciw 56. Poprawki przekazano komisyi, która na posiedzeniach dnia 20. i 25. lutego odrzuciła poprawkę p. Wittego o przyznaniu większych praw włościanom (na komisyi bronił jej on sam i p. Kowalewskij) oraz poprawkę polską o przyznaniu radnym włościańskim liczby miejsc wedle szacunku ich gruntów, podczas gdy poprawkę o przedstawicielstwie proporcyonalnem zamiast kuryalnego cofnięto ze strony polskiej z pod obrad komisyi. Obecnie przechodzi pełna Rada Państwa do rozprawy szczegółowej.

Śp. Józef Montwiłł.

Litwa poniosła niepowetowaną stratę. W osobie zmarłego w dn. 20 b. m. śp. Józefa Montwiłła ubył jej niezwykły obywatel: zgasło jedno z nielicznych polskich ognisk na Litwie. Ze smutnemi dziejami ziemi litewskiej, w czasach ostatnich, nazwisko zmarłego zrosło się nierozerwalnie. W czasie popowstaniowej zemsty rosyjskiej, a polskiej wprzódy rozpaczy potem obojętności, był jednym z niewielu, którzy z wiarą w przyszłość jęli się pracy społecznej, kulturalnej, ekonomicznej, filantropijnej. W pracy tej

stał się wkrótce przodownikiem, a pod koniec życia osią, około której obracała się cała polska praca w Wilnie. Po ukończeniu studyów w Petersburgu, Berlinie, Wiedniu i Krakowie i powrocie do kraju został kierownikiem wileńskiego Banku ziemskiego i nadał mu charakter na wskróś polskiej instytucyi. Przez 12 lat był radnym miejskim, w r. 1897 został wybrany prezydentem miasta, wyboru tego jednak rząd nie zatwierdził. Rzutki i przedsiębiorczy, obdarzony niezwykłemi zdolnościami organizacyjnemi przysporzył Wilnu 22 towarzystwa polskie, jak Lutnia, opieka nad dziećmi, kolonie letnie, kropla mleka, bezpłatne obiady, warsztaty rzemieślnicze, ochronki, patronaty, szkoły, stowarzyszenia zawodowe, długi szereg instytucyi, zwanych w Wilnie „montwiłłowskiemi“. Lwią część pracy poświęcił miejskim warstwom najuboższym, słusznie może upatrując przyszłość naszą na Litwie nie tylko w sferach ziemian ale i ludu w miastach i miasteczkach. W roku 1907 wybrany został posłem do III. Dumy, gdzie go powołano na prezesa Koła kresowego, na którem to stanowisku zdołał wykazać ogromną znajomość stosunków krajowych i pozyskać ogólne poważanie. Na razie trudno docenić całkowitą stratę, jaką społeczeństwo nasze ze zgonem śp. Montwiłła poniosło. Odczuwa się jedno, co trafnie na wieść o jego śmierci wypowiedział p. A. Sadzewicz w *Gazecie Warszawskiej*: „Runął potężny dąb litewski, w glebę rodzinną korzeniami wrosły głęboko, koroną czynów swoich widny całej Litwie i Polsce, pozostaje po nim przeżliwą pustką ziejąca luka w naszem życiu narodowem. Zmarł jeden z najlepszych wyobrazicieli historycznej Unii dwóch krajów i dwóch narodów“.

Rusini a Prusacy.

W ostatnim numerze *Deutsches Volksblatt für Galizien* wydawanego przez „Bund“, kierowany z Berlina, znajduje się gorące wezwanie, aby szkoły niemieckie w Galicyi zamiast języka polskiego nauczały ruskiego: „Rzecz niepojęta, czemu my mamy iść przeciw Rusinom, którzy zawsze okazują nam *eine deutschfreundliche Gesinnung*... Sprawa ta ma doniosłe znaczenie. Sama tylko *platoniczna miłość* dla Rusinów ani im ani nam nic nie pomoże“.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

Zjazd marszałków. W dn. 27. lutego odbył się we Lwowie zjazd prezesów Rad powiatowych. Uchwalono rezolucye w sprawie statutu emerytalnego urzędników powiatowych, w sprawie udzielania przez Wydział krajowy Radom pow. krótkoterminowych pożyczek jako kapitału obrotowego, w spawie kontroli Rad pow. nad gminnymi funduszami szkolnymi oraz postanowiono prosić Wydział kraj. aby zakupował na rzecz kraju kamieniołomy oraz wziął pod rozwagę zaciągnięcie 20 milionowej pożyczki celem udzielenia Radom pow. subwencyi na budowę dróg murowanych.

Kurczenie się ziemi polskiej. W ostatnich czasach następujący właściciele ziemscy Polacy wyzbyli się swej ziemi w ręce niezupełnie pewne: 1) p. Olga z Zottów Dekańska sprzedała dobra Grabicz (obsz. 238 ha) w pow. tłumackim p. Salamonowi Wirthowi; 2) p. Eustachy Ścibor Rylski sprzedał dobra Pielnia i Łazy (obsz. 637 ha) oraz Jędrzeszkowce (obsz. 182 ha) w pow. sanockim żydom pp. Ortnerowi i Dillerowi; 3) p. Haller sprzedał maj. Turylcze (obsz. 868 ha) w pow. borszczowskim p. Samuelowi Hafnerowi.

Z Akademii Umiejętności. Ord. hr. Krasiński ofiarował Akademii Um. całe archiwum rękopisów pozostałych po Zygmuncie Krasińskim. Rozporządzając olbrzymim wprost i cennym materyałem Akademia będzie mogła przystąpić do pełnego wydania pism Krasińskiego.

Z zaboru rosyjskiego.

Ziemstwa w Królestwie. Dn. 24. lutego Duma uchwaliła wniosek frakcyi październikowców uznający za pożądane wprowadzenie samorządu ziemskiego w Królestwie Polskiem. Rząd podjął się opracowania projektu prawodawczego, którego jednak zrealizowanie uzależnił od reformy gminnej, zaprowadzenia samorządu w miastach Królestwa i po uprzedniem wyłączeniu Ziemi chełmskiej.

W Dumie. W czasie szczegółowego czytania projektu o nauczaniu początkowem Duma odrzuciła poprawkę Koła Polskiego, żeby w szkołach ludowych w Królestwie nie w ciągu 4-ch, jak ustanawia projekt, ale w ciągu 6 lat nauczania wszystkie przedmioty z wyjątkiem jęz. rosyjskiego były wykładane po polsku. Także odrzucono poprawkę nacyonalistów, orzekającą, że wykład religii katolickiej dla białorusinów i małorusinów ma się odbywać po rosyjsku, co miało na celu uchronić te plemiona od polonizacyi a pomódz rusyfikacyi.

Sprawa Rydzyny. Dn. 20. lutego odbyło się w Petersburgu zgromadzenie polskich posłów do Dumy i Rady Państwa w sprawie udziału posła hr. Henryka Potockiego w zaprzepaszczeniu ordynacyi rydzyńskiej. Wybrano specyalną komisyę, w której skład weszli pp. Jaroński, Chomiński, Chrzanowski i Zawisza.

Uniwersytet Warszawski. Niepomna na dobrodziejstwa rządu część studentów w Warszawie solidaryzując się ze wszechrosyjskim strejkiem studenckim wszczęła strejk na Uniwersytecie warszawskim. Z niewdzięcznymi pupilami władze załatwiły się energicznie: z liczby 110 aresztowanych, 76 wygnano z granic Królestwa, 9 uwolniono a 24 osiedlono na dłuższy pobyt w cytadeli warszawskiej.

Z zaboru pruskiego.

Walka o *ziemię. Schles. Ztg.* podaje, że w Prusiech Wschodnich, Zachodnich i na Śląsku Górnym od 1. do 15. stycznia rb. na 23 wypadki kupna-sprzedaży ziemi, w 4-ch własność polska przeszła w ręce niemieckie, w 11 Polacy nabyli ziemię od Niemców, a w pozostałych 8 transakcye zaszły między Polakami. W tymże czasie i w tychże prowincyach na 21 wypadków sprzedaży gruntów miejskich, w 2 Polacy sprzedali Niemcom, w 7 Polacy kupili od Niemców. Zyski polskie zwłaszcza postępują w Prusiech Zach.: na 11 wypadków sprzedaży gruntów, tylko w 2-ch Niemcy wykupili od Polaków.

W Landtagu. W czasie obrad nad budżetem min. spraw wewnętrznych przy pozycyi żądającej 300 tys. mk. „na tajne wydatki w interesie policyi“ zabrał głos pos. ks. Styczyński, żądając imieniem Koła Polskiego jej skreślenia a to na tej zasadzie, że policya tajna ma między innemi na celu kontrolę wszelkich polskich stowarzyszeń i prasy, nawet bractw i kongregacyi kościelnych, pogrzebów, kazań w kościołach a nawet kontrolę paczek pocztowych i listów. Mowca protestował przeciw działalności tajnych biur policyjnych na ziemiach polskich, w Poznaniu, Bytomiu, Wrocławiu tudzież agencyi w Galicyi i Królestwie oraz wszędzie tam zagranicą, gdzie w większych skupieniach przebywają Polacy i w zakończeniu modyfikując aforyzm Börnego, nazwał Prusy „klasycznem państwem tajnych policyantów“. Wniosek o skreśleniu funduszów tajnych odrzucono przeciw głosom Polaków, socyalistów i wolnomyślnych.

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski.**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Sykstuska 46, ekspedycya ul. Murarska 31.

Drukarnia Ludowa we Lwowie, plac Bernardyński 7.